

Wspomnienia ze Stoczni Gdańskiej

TADEUSZ KOWALIK

❖ prof. nauk humanistycznych i ekonomicznych, w sierpniu 1980 r. pracownik Instytutu Historii Nauki, Oświaty i Techniki Polskiej Akademii Nauk i członek grupy ekspertów MKS w Gdańsku. W latach 1948–1968 należał do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Członek Klubu Krzywego Koła. W latach 1956–1957 redaktor naczelny „Życia Gospodarczego”. Uczestnik opozycji demokratycznej (związany z jej lewicowym nurtem) – współzałożyciel Towarzystwa Kursów Naukowych, wykładowca Uniwersytetu Łatającego, współpracownik KOR, sygnatariusz apeli do władz inicjowanych przez środowiska opozycyjne. W 1992 r. jeden z założycieli Unii Pracy.

Jest to z natury rzeczy relacja subiektywna. Spisana w końcu 1981 r. w Waszyngtonie, gdzie się wówczas znalazłem. Opisałem w niej pracę grupy ekspertów przy Międzypartowym Komitecie Strajkowym w Gdańsku od 24 do 31 sierpnia 1980 r., czyli w czasie negocjacji z komisją rządową. Relację poprzedziłem wspomnieniem, jak do tego doszło, w jaki sposób zrodził się w tej grupie pomysł pomocy strajkującym w Stoczni Gdańskiej.

Apel sześćdziesięciu czterech

Powstanie tzw. komisji ekspertów MKS wiąże się z „Apelem sześćdziesięciu czterech”, który sumował zapewne kilka niezależnych pomysłów. Jednym z nich był projekt odezwy programowej, dyskutowany w gronie bezpartyjnej części seminarium zwanego żartobliwie „czerwoną kanapą”¹. Projektodawcą odezwy był Ryszard Bugaj, który od dawna uważał, że nie ma co czekać na reformatorskie inicjatywy władzy, lecz trzeba przygotować zbiorowy dokument o charakterze programowym. Chodziło mu zwłaszcza o program wyjścia z kryzysu

gospodarczego. Do bardziej konkretnych rozmów skłonił nas lubelski strajk kolejarzy, a następnie pierwsze odgłosy strajku gdańskiego. W czasie gdy dyskutowaliśmy o tym w parooosobowym gronie (oprócz Bugaja pamiętam Szymona Jakubowicza, Cezarego Józefiaka, Artura Hajnicza, Bronisława Geremka), Adam Michnik zasugerował ostatniemu z wymienionych, by intelektualści jakoś pomogli strajkującym robotnikom i poparli ich żądania.

Już całkiem konkretnie rozmawialiśmy o apelu we trzech, wraz z Jerzym Jedlickim i Bronisławem Geremkiem, podczas spaceru w okolicach mego mieszkania w sobotę 16 sierpnia, a w poniedziałek dyskutowaliśmy w mieszkaniu Geremka nad pierwszą wersją apelu. Był to tekst napisany przez Jedlickiego. Wieczorem poszedłem do Tadeusza Mazowieckiego. Ten, chociaż mocno przeziębiony i miał gości, zgłosił dość istotne uwagi i obiecał wnieść poprawki do następnego ranka. Krąg sygnatariuszy przedyskutowaliśmy w mojej pracowni w Instytucie.

Z uczestników zapamiętałem: Stefana Amsterdamskiego, Szymona Jakubowicza, Artura Hajnicza, Waldemara Kuczyńskiego, Andrzeja Celińskiego i Geremka, który chyba prowadził zebranie. Głównie dyskutowany problem to kwestia uczestnictwa ludzi z KOR. Wszyscy byli zgodni co do tego, żeby nie zwracać się do najbardziej eksponowanych politycznie. Dotyczyło to w pierwszym rządzie Michnika i Kuronia. Były natomiast podzielone opinie na temat profesorów Jana Kielanowskiego i Edwarda Lipińskiego. Ja uważałem, że w każdym przypadku powinien podpisać Andrzej Celiński, tak silnie związany ze środowiskiem akademickim. Celiński jednak odmówił, podkreślając, że nie może być wyjątkiem. Stało ostatecznie na tym, że nie podpisu-

¹ W seminarium tym, działającym od połowy lat sześćdziesiątych, uczestniczyli m.in. Ryszard Bugaj, Szymon Jakubowicz, Krystyna Kersten, Tadeusz Kowalik, Jan Strzelecki, Andrzej Tymowski, Janina Zakrzewska, Zofia Zakrzewska, a także przed wyjazdem z Polski: Bronisław Baccho, Włodzimierz Brus, Leszek Kotakowski, Krzysztof Pomian. (red.)

je nikt z KOR. Sprawy uczestnictwa ludzi z ROPCiO i KPN nawet nie dyskutowaliśmy, gdyż w naszym środowisku oceniano ich działalność i poglądy wysoce krytycznie.

Ponieważ później niektórzy z członków KOR wyrazili z powodu ich pominięcia żal, spróbuję we własnym imieniu wyjawić nasze motywy. Stał za tym głównie argument taktyczny. Nazwiskami dysydentów nie chcieliśmy odstraszać ludzi, którzy rzadko przekraczali próg czynów przez władze dozwolonych lub tolerowanych. Nie ukrywam jednak, że przynajmniej u niektórych z nas (u mnie z pewnością) działał argument merytoryczny. Przygotowaliśmy apel o kompromis, o nawiązanie dialogu między strajkującymi i władzą, o polityczne rozwiązanie gwałtownie narastającego konfliktu. Uważaliśmy, że w szukaniu dróg wyjścia z kryzysu niezbędne jest współdziałanie społeczeństwa z władzą. Domagając się od rządzących przeprowadzenia niezbędnych reform politycznych, kładliśmy nacisk na potrzebę umiaru i rozwagi ze strony społeczeństwa, które byłoby gotowe liczyć się w swych żądaniach z trudną sytuacją kraju. Nawet jednak gdyby taka treść apelu odpowiadała (przynajmniej niektórym) członkom KOR, musieliśmy – jeśli chcieliśmy działać skutecznie – liczyć się ze stereotypem KOR wytwarzanym przez oficjalną propagandę².

We wtorek i środę zbieraliśmy podpisy³. Powodzenie tej akcji ocenialiśmy początkowo dość pesymistycznie. Za sukces uznalibyśmy zebranie 25–30 podpisów, ale pamiętam, że niektórzy liczyli na najwyżej 15 sygnatariuszy. Szybko jednak miało się okazać, że apel doskonale trafił w nastrój opinii publicznej, czego widowym dowodem była nie tylko zaskakująca liczba sygnatariuszy, lecz również późniejsze liczne pretensje osób pominiętych (głównie z braku czasu). Odmowy należały do wyjątków. Zaskoczeniem była odmowa prof. Czesława Bobrowskiego. Odwiedził go w tej sprawie Waldemar Kuczyński, którego Bobrowski lubił, a jego książkę *Po wielkim skoku* ocenił tak wysoko, że ufundował dla au-

tora sporą osobistą nagrodę (10 tysięcy złotych!). Jego odpowiedź była kategoryczna: z obiema stronami się nie zgadza, ani z rządem, ani ze strajkującymi robotnikami. Robimy gruby błąd, udzielając poparcia MKS. Wytrawny polityk gospodarczy bał się po prostu, że cała rzecz skończy się nakręceniem spirali inflacyjnej. A już wyjazd nasz i zaangażowanie się po stronie strajkujących uważał za błąd niewybaczalny⁴.

Nasz apel o pracę na rzecz odpowiedzialnego kompromisu był skierowany do społeczeństwa i do władzy zarazem (baliśmy się powtórki grudnia 1970 r.). Do premiera i marszałka sejmu wystaliśmy go pocztą. Egzemplarz przeznaczony dla Biura Politycznego PZPR Geremek podał przez biuro podawcze KC. Trudniej było z apelem zapoznać opinię publiczną.

Wiedzieliśmy doskonale, że wysłanie go do „Trybuny Ludu” było gestem pozbawionym znaczenia. Jedyłą drogą, za pomocą której mogliśmy trafić do opinii publicznej, była prasa zachodnia i zachodnie rozgłoszenie. Zresztą, było dla nas jasne, że również do władzy szerzej pojętej, do establishmentu, apele i protesty docierają najszybciej tą właśnie okrężną drogą. Jeszcze w środę wieczorem [20 sierpnia], gdy tekst był przepisywany, poszliśmy obaj z Amsterdamskim do zachodnich agencji prasowych na ul. Koszykową, by uprzedzić korespondentów, że za parę godzin dostarczymy im ważną enuncjację. Przyjęto nas tam nieufnie. Gdy powiedzieliśmy, o co chodzi, zapytano, dlaczego robimy to dopiero teraz. Dlaczego w 1970 r. zostawiliśmy robotników samych, a nawet – co dotychczas zrobiliśmy dla robotników. Gdy jednak późnym wieczorem otrzymali od nas tekst, nadali mu dostateczny rozgłos.

Podczas przygotowania apelu nie było rozmów zawiadających nasze przyszłe współdziałanie ze strajkującymi. Być może pierwszy taki pomysł zrodził się w czwartek rano w rozmowie z Heleną Łuczywo w mieszkaniu Kielanowskiego i przy jego współudziale. Helena,

² W „Zeszytach Literackich” Tadeusz Kowalik wyjaśniał te powody bardziej szczegółowo: „KOR miał wielką zasługę w nawiązaniu współpracy inteligencji z robotnikami, w odzyskiwaniu wiary w możliwość samopomocy i samoobrony. Ale KOR nie nastawiał się na zreformowanie systemu. Przeciwnie. W środowisku KOR-u przeważały opinie o totalitarnym charakterze systemu, którego niereformowalność bądź przyjmowano za oczywistą, bądź uzasadniano ją teoretycznie. Jeśli więc – sądziłem – dojdzie do kompromisu, który będzie czymś więcej niż chwilowym zawieszeniem broni, to stanie się to wbrew dotychczasowej linii KOR-u. Nie wykluczałem oczywiście zmiany stanowiska poszczególnych osób, nie spodziewałem się jednak, że może to dotyczyć większości członków KOR-u, a zwłaszcza jego zaplecza młodzieżowego” (T. Kowalik, *Próba kompromisu (o Komisji Ekspertów MKS w Gdańsku)*, „Zeszyty Literackie” 1983, nr 2, s. 97). (red.)

³ Początkowo w mojej pracowni w PAN, ale ponieważ ze strony dyrekcji spotkały mnie zarzuty, że „przekształcałem pracownię w jacejkę korowską”, przenieśliśmy listy do Klubu Inteligencji Katolickiej. Gdy po powrocie z Gdańska chciałem dopełnić formalności i wziąć za ten okres urlop bezpłatny, ten sam dyrektor się żachnął: „Ależ panie docencie, to niepotrzebne. Pan przecież spełniał obywatelski obowiązek”. (T.K.)

⁴ Natomiast przyniesiony przez kogoś podpis Romana Bratnego wywołał konsternację, a nawet pewne opory. (T.K.)

osamotniona ze względu na liczne aresztowania, zwłaszcza wśród współpracowników „Robotnika”, ukrywała się od kilku dni. Właśnie wróciła ze Stoczni Gdańskiej pełna niepokojów. Mówiła o niebezpieczeństwie katastrofy ze względu na niechęć władzy do kompromisu z jednej strony oraz widoczną radykalizację robotników z drugiej. Od niej wówczas po raz pierwszy usłyszałem o Wałęsie skłonny do kompromisu i o radykalnym Andrzeju Gwieździe. Helena przekonywała nas, że należy coś zrobić, by zapobiec katastrofie. Zacząłem głośno rozważać celowość wyjazdu do Gdańska paru spośród najwybitniejszych sygnatariuszy apelu. Pamiętam, że wymieniałem nazwisko Aleksandra Gieysztora, Stefana Kieniewicza, Władysława Bieńkowskiego i Tadeusza Mazowieckiego. Może także Andrzeja Wajdy. Helenie się ta myśl spodobała. Kielanowski był raczej powściągliwy.

Zapaliłem się do pomysłu i zacząłem natychmiast działać. Byłem akurat umówiony przed moim domem z panią Felicją Lange. Nie pamiętam, o co chodziło. Chyba o jakąś zbiórkę pieniędzy. Poprosiłem, by mnie podwiozła do Bronka Geremka, którego chciałem prosić o porozmawianie z Gieysztorem i Kieniewiczem. Na siebie wziąłem rozmowę z Mazowieckim i Bieńkowskim. Możliwe jednak, że po drodze zmieniłem nieco koncepcję, gdyż chyba już za pierwszym razem powiedziałem, że Bronek też powinien jechać. U Geremka zastałem Karola Modzelewskiego. W sposób jednak dla mnie typowy, gdy jestem czymś mocno zaabsorbowany, pomyliłem go z kimś, kto miał nie najlepszą opinię w środowisku. Nie chcąc omawiać pomysłu z Bronkiem w czyjejkolwiek obecności, poprosiłem Bronka do innego pokoju. Wzbudziło to, zdaje się, w Modzelewskim daleko idące podejrzenia o moje czy nasze konszachty z ludźmi establishmentu.

Geremek natychmiast zaakceptował projekt i propozycję rozmowy z Gieysztorem i Kieniewiczem. Mazowieckiego nie zastałem w „Więzi”, ale gdy stamtąd wychodziłem, spotkałem go na dole przy wejściu. Tadeusz po chwili wahania zgodził się na proponowaną mu misję, miał jednak zastrzeżenia do składu grupy. Podkreślał, że powinien to być zespół ludzi dobrze się rozumiejących i zdolnych do współpracy („Jeśli mam kierować zespołem, to powinien być w miarę jednolity”). Wyraził wątpliwość, czy Bieńkowski nadaje się do tego ze względu na zdecydowane poglądy i kategoryczny sposób dyskusowania. Być może Mazowiecki pierw-

szy widział perspektywę dłuższego współdziałania ze strajkującymi. Ja do tej chwili wyobrażałem sobie ową misję raczej jako akt mniej lub więcej jednorazowy – doprowadzenie do dialogu, a nie uczestniczenie w nim. Z moich propozycji pozostawił tylko Geremka. Zapytał także, dlaczego ja miałbym nie jechać i sprzeciwił się memu przekonaniu, że powinny to być nazwiska najbardziej znaczące.

Zmieniła się więc koncepcja grupy na tyle, że zrezygnowałem z wizyty u Bieńkowskiego i powróciłem do Geremka, by powstrzymać go od rozmów z wymienionymi wyżej wybitnymi historykami. Gdy wszedłem do mieszkania, Bronek już przy drzwiach powiedział, że jest w przymusowym towarzystwie „tych panów”. W mieszkaniu – obok Karola Modzelewskiego pełniącego rolę świadka – było trzech cywilów ze Służby Bezpieczeństwa zajętych przeglądaniem papierów. A więc rewizja w takim momencie! Była to zapewne pierwsza reakcja władz na nasz apel.

Rewizja trwała długo, chyba od dziesiątej do pierwszej. Liczba osób skazanych na przymusowe asystowanie szybko się zwiększała. Przyszli, by już nie wyjść do końca: ktoś z młodych współpracowników Geremka z Instytutu Historii [PAN], potem przewodniczący rady zakładowej tej instytucji, następnie Janek Strzelecki. Powróciła także z uniwersytetu Hania, gospodyni domu, która skutecznie rozładowywała nastrój. Po pierwszej wszedł do mieszkania nowy funkcjonariusz i już przy drzwiach powiedział: „Panie Tadeuszu, ja po pana”. Czuł się upoważniony do poufałości na tej zasadzie, że „poznaliśmy się” kilka miesięcy wcześniej podczas rewizji w moim mieszkaniu. Może też zajmował się mną jako wykładowcą i członkiem komisji programowej Towarzystwa Kursów Naukowych.

Zostałem obstawiony z obu stron na tylnym siedzeniu służbowego wozu. Pojechaliśmy do mego mieszkania. Po drodze dosiadła się kobieta, pani prokurator (chyba w randze kapitana), która potem podpisała protokół rewizji. Przed domem zobaczyłem wychodzącego właśnie Waldemara Kuczyńskiego, który chyba celowo starał się nie zwracać na nas uwagi. Jak się później okazało, przyprowadził do nas Helenę Łuczywo, którą zobaczyłem na korytarzu w chwili wejścia do mieszkania. Szczęśliwie żaden z funkcjonariuszy nie znał jej z wyglądu. A może przybysze dali się zwieść niecodziennemu u Heleny super eleganckiemu ubiorowi i makijażowi. Gdy weszliśmy

do osobnego pokoju, jeden z funkcjonariuszy ostrzegł mnie wprawdzie, iż podczas rewizji nikomu z domowników ani gości nie wolno wychodzić, nie nalegał jednak, bym wszystkich o tym uprzedził.

Jak się później okazało, Helena umówiła się u nas na telefoniczny wywiad dla „Daily Telegraph”, z którym dorywczo współpracowała. Nie uprzedziła nas o tym, a pewnie i nie pomyślała, że taki wywiad z mego mieszkania w czasie, gdy zajęty byłem realizowaniem naszego bądź co bądź wspólnego pomysłu, nie był krokiem rozsądnym. Zapewne nie pomyślała o tym ze względu na duże napięcie nerwowe i zagubienie. Szczęśliwie udało się jej niepostrzeżenie wyjść, gdy omawiałem z funkcjonariuszami sprawę świadka. Rewizję przeprowadzono we wszystkich pokojach z wyjątkiem pokoju syna. Chcąc oszczędzić małemu nieprzyjemności (podobnie jak moja żona był chory na anginę), dałem słowo, że w jego pokoju nic dla nich nie ma. Nie kłamałem świadomie, gdyż nie wiedziałem, że żona ukryła tam maszynę do pisania i parę przypadkowych tekstów.

Plon rewizji był niestety duży. Zabrano mi parę setek egzemplarzy listu TKN do nauczycieli, sporo książek Nowej i trochę maszynopisów. Wśród nich wszystkie egzemplarze mego tekstu *Czerwiec 56, Grudzień 70, Czerwiec 76 i...?*. Pozostawiono natomiast parę kopii artykułu *Uwagi o możliwości przejścia od komunizmu do socjalizmu*. Może dlatego, że tytuł brzmiał dość schematycznie i zmiana kierunku nie rzucała się w oczy.

Rewizja trwała od drugiej do szóstej, co tłumaczy nie tylko jej dokładnością, lecz także tym, że funkcjonariusze starali się nawiązać rozmowę, by czegoś się dowiedzieć. Wyczuwało się w ich postawie niepewność, a może nawet zagubienie. Przynajmniej część ich pytań wynikała ze zwykłej ciekawości, której nie mogły przecieć zaspokoić oficjalne kanały informacji. Chętnie się tej atmosferze poddawałem, co ułatwiało wytargowanie niektórych maszynopisów lub książek. Rozluźnionej atmosferze przypisuję również to, że żonie udało się odbyć parę rozmów telefonicznych.

Podczas rewizji ktoś zadzwonił do drzwi. Gdy Irena zobaczyła nieznanego młodzieńca, sądziła, że to któryś ze studentów do mnie, starała się więc gestami rąk skłonić go do odejścia. Dopiero po chwili ów gość ujawnił się i powiedział, że został wezwany do pomocy w zabranii zakwestionowanych materiałów.

Przez długi czas trzymano mnie w niepewności, czy będę musiał z nimi pójść, stwarzając wrażenie, że to nie od nich zależy, choć zabiegają, by mnie nie musieli zabrać.

Po ich wyjściu postanawiam w wannie pozbyć się nieprzyjemnych wrażeń tego dnia. Uniemożliwia to telefon od Andrzeja Kijowskiego, który zaprasza do siebie. Są już u niego Geremek i Mazowiecki.

Odbyła się tam parogodzinna dyskusja na temat wyjazdu do Gdańska. Największym sceptykiem był gospodarz domu. Mówił o podstawianiu nogi żaby, gdzie kują konie, o nieskromności pomysłu, o niemożliwości naszej pomocy strajkującym.

Również Mazowiecki zgłosił liczne zastrzeżenia, które zmierzały w niejasnym dla mnie kierunku. Czasem myślałem, że chodzi mu o doprecyzowanie pomysłu, a czasem – że o sam sens przedsięwzięcia. Dopiero później miałem się przekonać, że Tadeusz nigdy nie zapala się do projektów, a swą rolę widzi głównie w tym, by rzecz rozważyć ze wszystkich możliwych stron. Raczej bierny Geremek robił wrażenie silnie wymęczonego wcześniejszą rewizją. Przekonany, że powinniśmy jechać jak najszybciej, czułem, że moja argumentacja nie trafia do przekonania. Onieśmielała mnie myśl, że sam tymczasem jechać nie mogę ze względu na chorobę domowników.

Rozmowa była chaotyczna, zataczała parę kręgów i wracała do punktu wyjścia. W momencie gdy już się wydawało, że wszyscy z pomysłu zrezygnowali, próbujemy dodzwonić się do informacji kolejowej, by się dowiedzieć, o której mamy pociąg do Gdańska. Jesteśmy zmartwieni, gdy się okazuje, że telefon przestał działać. Najprytniej zachowała się pani Kijowska, która od czasu do czasu usiłowała wprowadzić jakiś ład do naszej szamotaniny.

Ostatecznie postanawiamy, że spotkamy się następnego dnia w redakcji „Więzi”. Gdy to następuje, ujawniają się przeciwstawne stanowiska. Bronek rozpoczyna od czegoś w rodzaju oświadczenia. Wczoraj miał wątpliwości, dzisiaj żadnych. Uważa, że należy jechać niezwłocznie. Natomiast Kijowski oświadcza, że nam wprawdzie nie odradza, ale sam wyjechać nie może, gdyż to byłoby sprzeniewierzeniem się sobie. Dawno już postanowił być pisarzem i do polityki się nie mieszać⁵. Szybko się też wyjaśnia stanowisko paru członków Kon-

⁵ Jednak 28 sierpnia Andrzej Kijowski pojechał jako ekspert do Szczecina. (red.)

wersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” – na razie do Gdańska jechać nie zamierzają.

Pozostają Geremek i Mazowiecki. W ostatniej chwili wpadamy na pomysł, by namawiać Jerzego Szackiego. Obaj z Bronkiem wywołujemy go w tym celu z posiedzenia Towarzystwa Socjologicznego, które odbywa się w mieszkaniu prof. Andrzeja Tymowskiego. Jerzy potrzebuje jednak więcej czasu do namysłu.

W piątek 22 sierpnia około pierwszej w południe wyjeżdżają Mazowiecki i Geremek. Jadą samochodem Geremka. Do Gdańska dotarli pod wieczór. Z opowiadań obu wiadomo, że przyjęto ich tam nadzwyczaj serdecznie. Nie tylko podziękowano za poparcie udzielone w apelu, lecz z miejsca zaproponowano utworzenie grupy ekspertów MKS.

W sobotę wczesnym popołudniem zadzwonił do mnie Geremek z telefonu dyrekcji stoczni, by zawiadomić, że MKS powierzył im zadanie utworzenia komisji ekspertów. Prosi, by namówić do przyjazdu autorów: *Po wielkim skoku, Rodowodów niepokornych* oraz *Przed trzecim przyspieszeniem*, czyli Waldemara Kuczyńskiego, Bohdana Cywińskiego i Andrzeja Wielowieyskiego. A także Jadwigę Staniszkis oraz „jakiegoś dobrego prawnika”. Zaakceptował kandydaturę Leszka Kubickiego z Instytutu Państwa i Prawa PAN. Dodał, że mamy lecieć samolotem – na moje nazwisko ma być zarezerwowanych sześć miejsc w niedzielę o siódmej rano. Powiedział także coś o gwarancjach bezpieczeństwa, rozumiałem, że to obietnica wojewody [Jerzego] Kołodziejewskiego. Stworzyło to wrażenie, że jesteśmy chciani przez obie strony, co później zrodziło nieporozumienia.

Bronek rozpoczął rozmowę od uwagi, że tam w stoczni atmosfera jest zupełnie inna, w świetle której nasze warszawskie wątpliwości okazały się śmieszne.

Zaczynam szybko działać, żeby wszystkich zdążyć zawiadomić dostatecznie wcześniej. Okazuje się, że Staniszkis już wyjechała do Gdańska (potem się dowiem, że wezwał ją tam ktoś spoza naszego środowiska). Waldemara, którego zawiadomił na moją prośbę Szymon Jakubowicz, nie trzeba przekonywać. Z pozostałymi znacznie gorzej. Gdy dzwonię do Bohdana i mówię mu, o co chodzi, on na to: „Tadeusz, jesteś pijany, prześpij się, zadzwoń, jak wytrzeźwiejesz”. Dziwi się, że o takiej sprawie mówię przez telefon i jeszcze wspominam o jakichś gwarancjach bezpieczeństwa. Do wyjazdu jest jednak skłonny. Musi tylko uwierzyć. Wielowieyskie-

go nie zastaję w domu, od jego córki dowiaduję się, że jest nad Zalewem Zegrzyńskim. Szczęśliwie przychodzi Adam Kersten, jak zwykle gotów do wszelkiej pomocy, także do najczarniejszej roboty. Telefonicznie umawia się z córką Wielowieyskiego, by odszukać ojca. Przywozi jednak po dwu godzinach odmowę: Andrzej uważa, że do takiej roli się nie nadaje i radzi zwrócić się do Janka Strzeleckiego. Dzwonię więc do Bohdana z prośbą o wstawiennictwo i to po pewnym czasie pomaga.

Po południu odwiedzają nas w domu Kubicky, wcześniej umówieni. Korzystam z okazji i namawiam Kubickiego na wyjazd do Gdańska. Nie umiem, niestety, precyzyjnie odpowiedzieć, czy jedziemy tam w roli mediatorów, czy też wyłącznie w roli współpracowników Komitetu Strajkowego. Kubicki uzależnia swoją decyzję od rozmowy z dyrektorem Instytutu, prof. Sylwestrem Zawadzkiem, z którym, jak powiedział, podjął pewne wspólne działania i czuje się zobowiązany do lojalności. Wieczorem zawiadamia mnie, iż rozmawiał również z panem Władysławem (chodzi o Markiewicza, sekretarza Wydziału Nauk Społecznych PAN), do czego się poczuwał jako wicedyrektor Instytutu. Domyślam się z rozmowy, iż jednym z czynników, które bierze pod uwagę, był fakt, iż byłby jedynym członkiem partii wśród wyjeżdżających.

Wieczorem kolejny telefon od Geremka, iż nasza rezerwacja jest nie na siódmą, lecz na dziewiątą rano.

Wieczorem jeszcze spotkanie u Hajnicza, w którym biorą również udział: Jakubowicz, Bugaj, Józefiak, Kuczyński. Miało być poświęcone kwestii programu gospodarczego, ale rozmawiamy głównie o naszej nowej misji i sytuacji w kraju. Umawiamy się, że Bugaj i Hajnicz przygotowują na rano krótkie ekspertyzy – pierwszy o inflacji i dodatku drożyznianym, a drugi o samorządzie robotniczym.

Późnym wieczorem zamawia się do mnie Karol Mordzelewski. Pyta, czy zabiorę ze sobą jego tezy do programu, które przygotowałyby na rano. Ucieszyłem się z tego, gdyż Karola uważałem za utalentowanego pisarza politycznego. Byłem jednak zaskoczony jego minimalizmem. Uważał, że hasło wolnych związków zawodowych jest całkowicie pozbawione realizmu. Ja zaś uważałem, że jego propozycje były nawet jak na mój gust nazbyt połowiczne. Gdy po nieprzespanej nocy przyniósł rano kilkustronicowy tekst, powiedział m.in.: „Żałuję, że napisałem z Jackiem ten głupi list otwarty,

inaczej pojechałbym teraz pomagać robotnikom". Ja na to zareagowałem, że powinien pisać program polityczny. A Karol: „Po co? Kto mi to opublikuje?”. Na moje kolejne słowa, iż sytuacja może się wkrótce radykalnie zmienić, Karol powiedział: „Lubię Twój optymizm”. Podszedł i pocałował mnie w czoło, tak jak się całuje kogoś bardzo poczciwego i naiwnego zarazem.

Artur przyniósł rano nie tylko swój tekścik o radach robotniczych, lecz także inną notatkę o strajkach, napisaną przez Wisłę Pankiewicz, była żoną Edwarda Osóbki-Morawskiego. Chodziło jej głównie o pokazanie, że strajki nie są sprzeczne z ustawodawstwem polskim. Umówiliśmy się, że będziemy ewentualnie zgłaszać z Gdańska zapotrzebowanie na inne teksty, które mogą się okazać potrzebne. Okazało się to o tyle nierealne, że przez cały czas był utrudniony kontakt telefoniczny. Poza tym Warszawa żyła wówczas tak odmiennym rytmem, że na odległość trudno było zrozumieć strajkujących z „wolnego miasta Gdańska”.

Wieczorem pojawili się u nas jeszcze inni niezapowiedziani goście, tym razem z Budapesztu, spośród których znałem tylko historyka Marię Kovacs, która rok wcześniej odwiedziła nas razem z Györgym Bencem i Jánosem Kisem, by zapoznać się z naszym Latającym Uniwersytetem. Węgrzy przyjechali w geście solidarności ze strajkującymi i zamierzali jechać na Wybrzeże. Próbuję im tłumaczyć, że im mniej rozgłosu w tej części Europy, tym lepiej dla sprawy. Po krótkiej rozmowie skontaktowałem ich z prof. Kielanowskim, a następnie z Martą Woydt, by się nimi zaopiekowała. Następnego dnia nie podchodzę do nich, gdy spostrzegam ich na lotnisku. Jesteśmy bowiem, podobnie jak oni, wyraźnie obserwowani. Później dowiem się, że następną grupę Węgrów udających się do Polski z chęcią poparcia strajkujących zatrzymano już na lotnisku w Budapeszcie.

Rano na Okęciu niespodzianka za niespodzianką. Wierząc, że mamy zarezerwowane miejsca w samolocie, szukam potwierdzenia, najpierw w kasie, potem u kierownika. Nic o tym nie wiedzą. Na szczęście możemy normalnie kupić bilety, gdyż są wolne miejsca. Dopiero w Gdańsku dowiemy się, że wojewoda coś podobnego obiecał, ale potem zapomniał. Już przy wejściu do hali zauważyliśmy znaczną i szybko rosnącą liczbę funkcjonariuszy bezpieczeństwa niespuszczających nas z oczu. Było ich, jak obliczyliśmy, około dwudziestu pięciu. Gdy zaczęliśmy wychodzić przez przejście kontrolne z za-

nami na rewizję, z każdym z nas postępowano podobnie. Sprawdzenie biletu i dowodu osobistego, zaproszenie do kabiny, gdzie sprawdzano zawartość bagażu. Po chwili pojawia się wysoki funkcjonariusz MSW i przepaszając, informuje, iż władze zmuszone są przerwać naszą podróż. Po wyjściu z kabiny każdy z nas zostawał oddany strażnikowi, który odprowadzał nas do milicyjnej poczekalni. Niektórzy z nas, a może wszyscy z osobna – nie pytałem o to kolegów – myśleli początkowo, że tylko oni zostali wyłączeni z grupy jadących.

Gdy szedłem ze strażnikiem, zobaczyłem przez szybę Kerstena i Wielowiejską. Krzyknąłem do nich, że jestem zatrzymany. Na co strażnik: „Dlaczego się pan tak denerwuje?”. W pokoju milicyjnym pozostawiono nas pod nadzorem mundurowego sierżanta MO, rubasznego starszego pana po pięćdziesiątce. Robił, co mu kazano, ale wyczuwało się łatwo, że z nami sympatyzuje. Siedzieliśmy tak przez dwie godziny. Znaczną część tego czasu spędziliśmy na wyśmiewaniu się z nas samych. Głównym bohaterem ironii byłem oczywiście ja i moja łatwo wierność. Zrozumiałe, że Kubicki, urzędujący wicedyrektor Instytutu Prawa, legalista z krwi i kości, czuł się w roli zatrzymanego najgorzej. Zrozumiałe też, że on właśnie moją naiwność oceniał najostrzej, co usprawiedliwiała nasza ponadtrzydziestoletnia znajomość i dawna przyjaźń. Cóż mogłem odpowiedzieć na pytania jego i innych dotyczące rzekomej rezerwacji miejsc, a nawet gwarancji bezpieczeństwa? Właśnie owe gwarancje bezpieczeństwa wywołały raz po raz wybuchy sarkastycznej wesołości. Pod strażą istotnie czuliśmy się bezpieczni... Po dwu godzinach wszedł funkcjonariusz w średnim wieku, przedstawił się jako pułkownik Sobieszuk lub Sobieszak z MSW, przeprosił za zatrzymanie, które miało jakoby wynikać stąd, iż otrzymali informację, że nasz wyjazd „chciały wykorzystać w celach antypaństwowych siły antysocjalistyczne”. Teraz sprawa została wyjaśniona i możemy robić, co chcemy. Jeśli chcemy jechać do Gdańska, radzi nam skorzystać ze specjalnego samolotu, który właśnie odlatuje. Dodał, iż wierzy, że nasz wyjazd dobrze będzie służył socjalistycznemu państwu. Nie skorzystaliśmy jednak z owego specjalnego samolotu, nie ufając „doradcy”, i poleciliśmy rejsowym o dwunastej.

Na lotnisku gdańskim już ze słabszą pewnością siebie zapytaliśmy kasjerki, czy przypadkiem nie czeka na nas ze stoczni samochód. Wiedzieliśmy bowiem, że transport

miejscowy strajkuje. Już z rozmowy z kasjerką wyczuwaliśmy odmienny, świąteczny i pogodny nastrój tutejszej ludności. Z jej pomocą dodzwoniliśmy się do MKS, skąd szybko przysłano dwie dyżurujące dla potrzeb strajkujących taksówki.

Jakieś dwieście metrów przed stoczną czekał na nas na ulicy Geremek, który poradził nam wysiąść i wejść na teren stoczni pieszo. Nie chciał, by nas wzięto za przedstawicieli władzy i potraktowano podobnie jak wicepremiera [Mieczysława] Jagielskiego poprzedniego dnia. Chodziło o jego pierwsze wejście, kiedy spotkał go nieufny, wręcz wrogi tłum. Walono pięściami po szybach samochodu i wznoszono nieprzyjazne okrzyki.

Za bramą rozpoczęliśmy nowy tryb życia – tydzień najbardziej intensywnego i chyba najbardziej interesującego doświadczenia. Życia w nadziei i zagrożeniu. Nadziei na wielką przemianę, decydującej o kierunku naszego działania, o rozmowach i treści naszej pracy. W zagrożeniu wyczuwalnym, lecz rzadko poruszonym w rozmowach. Temat ten powracał najczęściej dopiero w chwilach relaksu – podczas posiłków lub nocnych spacerów do miejsca noclegowego.

Na przykład gdy któregoś wieczoru szliśmy spać do zakonu pallotynów, usłyszeliśmy pociąg towarowy. Wydawał odgłosy przypominające czołgi. Zapytałem Bronka: „Jak myślisz – piętnaście lat?”. Bronek był bardziej pesymistyczny – jak klasyczny łacinnik powiedział: „*Capita*” (czyli „czapa”). To był zresztą fatalny wieczór. Naprzeciwko mnie siedział wojewoda gdański prof. Jerzy Kołodziejski. Gdy jakiś urzędnik podszedł do niego i coś cicho powiedział, Kołodziejski zbladł i natychmiast sięgnął do kieszeni po lekarstwo (chyba nitroglicerynę, bo sercowy).

Natychmiast po przyjeździe do stoczni wpadliśmy w wir pracy. Nie było czasu na spokojne zapoznanie się z członkami prezydium MKS, na jakieś pełniejsze poinformowanie nas o sytuacji w stoczni czy na Wybrzeżu.

Przedstawiono nas tylko napotkanym gospodarzom. Zaraz jednak poszliśmy do znajdującego się w dalszej części stoczni budynku i tam zaczęliśmy zastanawiać się nad rozwinięciem i uzasadnieniem pierwszego postulatu strajkujących – powołania wolnych związków zawodowych. Pośpiech wynikał stąd, że już wieczorem tego dnia (niedziela 24 sierpnia) nasze propozycje miały być rozważane na posiedzeniu prezydium z naszym udziałem⁶.

Z różnych jednak względów nie pracowaliśmy jeszcze wówczas efektywnie. Przeniesienie się z Warszawy do Gdańska to wejście w inny świat. Przyjechalśmy z ogromną ilością pytań, wątpliwości. Osobiście byłem trochę rozczarowany tym, że nasi pierwsi wystannicy, Tadeusz i Bronek, dobrze już rozumiejący osobliwości tego innego świata, poddali się jakoś naporowi spraw i gonitwie, wyraźnie nie mając czasu na szersze wprowadzenie nas w ten świat. Może wiązało się to z ich wrodzoną małomównością (obaj nie należą do gawędziarzy), a może po prostu uznali, że ich słowa nie są w stanie zastąpić obserwacji. Ale w tych warunkach tym bardziej musieliśmy godzić naszą gotowość do pracy z obserwacją otaczającego nas mikroświata, by same mu wyrobić sobie ogólniejszy obraz o nastroju wśród strajkujących, o ich nastawieniu, o sposobie kierowania strajkiem czy funkcjonowania służb pomocniczych. Do Warszawy nie dochodziły wcześniej prawie żadne tego typu wiadomości. A przecież również od rozumienia tych właśnie spraw zależała nasza zdolność do odgadnięcia intencji naszych mocodawców.

W chwili podjęcia pracy wiedzieliśmy, że żądanie wolnych związków zawodowych jest postulatem kluczowym. Nie sądziliśmy jednak, że aż tak bardzo usunie ono w cień wszystkie pozostałe. Po drugie, w chwili przyjazdu wiara w możliwość powstania wolnych związków zawodowych – moja z całą pewnością, a prawdopodobnie prawie wszystkich członków komisji – była

⁶ Tadeusz Kowalik nie wspomina tu w ogóle o powołaniu przy MKS oficjalnej komisji ekspertów. W „Zeszytach Literackich” pisał na ten temat: „Oczywiście [w Warszawie] nie myśleliśmy o roli ekspertów. Bo też ekspertami w ścisłym słowa tego znaczeniu nie byliśmy. Nie byliśmy »komisją ekspertów«, jak nas nazywano, lecz raczej grupą doradców pomagających w sformułowaniu porozumienia gdańskiego. Byliśmy, jak ktoś napisał, doradcami w sytuacji, gdy nie ma mądrych. Mam wrażenie, że na wybór wyrażenia »eksperci« miał pewien wpływ mit nie tyle samej wiedzy, co kompetentnej i fachowej ekspertyzy, powszechny wśród strajkujących, a przede wszystkim cechujący Wałęsę. W tym też duchu został sformułowany komunikat MKS z 24 sierpnia o powołaniu i składzie komisji ekspertów oraz o posiedzeniu Prezydium z ich udziałem. Wymieniając specjalności reprezentowane przez siedmiuosobowy zespół, pominięto historię i filozofię (Geremek i Cywiński), wyeksponowano natomiast prawo. Było to o tyle prawdziwe, że co najmniej dwóch (Mazowiecki i ja), a może nawet trzech (Wielowiejski?) ukończyło studia prawnicze. Żaden z nas jednak od długiego czasu nie był prawnikiem praktykującym. Na wyrost też napisano, że komisja pozostaje »w stałym kontakcie z innymi specjalistami w całym kraju«, choć trzeba przyznać, że sympatie do strajkujących stoczniovców były w całym kraju tak wielkie, że każde życzenie MKS, a nawet jego zespołu ekspertów, spotkałoby się w wielu środowiskach specjalistów z pozytywną odpowiedzią” (T. Kowalik, *Próba kompromisu...*, s. 99). (red.)

słaba⁷. Gdy podniosłem tę sprawę wobec Geremka i Mazowieckiego⁸, pierwszy poradził nowo przybyłym, by porozmawiali ze strajkującymi robotnikami i na tej podstawie wyrobili sobie pogląd, a drugi podkreślił, że rola ekspertów nie może polegać na dążeniu do zmiany treści żądań strajkujących⁹.

Istotnie, rozmowy z robotnikami, a także uczestnictwo w obradach prezydium MKS w niedzielę wieczorem, uprzytomniły nam, że determinacja robotników w tej sprawie jest tak wielka, iż wyklucza zasadnicze odstępowanie. Należałem jednak do tych, którzy uważali, iż eksperci muszą być przygotowani na mniej przychylny rozwój sytuacji i mieć w zanadru łagodniejsze warianty tego postulatu. Zorganizowane, jak sądziliśmy, dyskretnie w poniedziałek 25 sierpnia w jednym z odleglejszych budynków stoczni (w starej opuszczonej stołówce) zebranie większości członków prezydium i ekspertów było poświęcone właśnie tej kwestii – czy MKS dopuszcza myśl poprzestania na radykalnej przebudowie starych związków zawodowych. Podstawą dyskusji był przygotowany przez nas krótki tekst. Został on kategorycznie odrzucony przez wszystkich zabierających głos delegatów. Dodam, że w ciągu całego tygodnia rokowań nie spotkałem ani jednego strajkującego lub delegata, który byłby skłonny do ustępstw w tej sprawie.

Chociaż i wcześniej dyskutowaliśmy treść przyszłego porozumienia, a nawet przygotowaliśmy pewne wstępne teksty, do właściwej pracy przystąpiliśmy dopiero we wtorek 26 sierpnia, kiedy to na zakończenie spotkania z komisją rządową powołano tak zwaną grupę roboczą dla przygotowania podstawy do dalszych negocjacji.

Początkowo udział nasz wzbudził po stronie rządowej pewną nieufność, choć wiedzieliśmy, że wojewoda Kołodziejcki przyrzekł ułatwienia w naszej podróży do Gdańska. Wyrazem tej nieufności był spór o naszą obecność na sali podczas negocjacji. Podczas rozmów przygotowawczych wicepremier Jagielski (który znał

mnie dobrze sprzed ćwierćwiecza z Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR) miał powiedzieć do naszych przedstawicieli (chodziło, zdaje się, o Lisa i Bądkowskiego), że ponieważ wśród ekspertów są osoby związane z KOR, nawet nasza bierna obecność przy negocjacjach stawiałaby go w trudnej sytuacji. Wałęsa jednak powiedział, że eksperci muszą być na sali. My byliśmy skłonni do ustępstw i ostatecznie Mazowiecki zaproponował, żebyśmy tylko my dwaj (on i ja) przebywali na sali w trakcie negocjacji, a reszta ekspertów znajdowała się w pomieszczeniach sąsiednich. Tak też zaczęliśmy, ale atmosfera poprawiała się szybko i później już tego nie przestrzegaliśmy. Jeszcze przed rozpoczęciem obrad przedstawiciel wojewody przyszedł do Mazowieckiego, by wyrazić zgodę na obecność Jadwigi Staniszkis. Później weszli także pozostali.

Po wejściu delegacji rządowej na salę i powitaniach Jagielski powiedział głośno: „Widzę tu obecnych panów ekspertów, to i ja poproszę swoich. Proszę poprosić w moim imieniu profesorów [Józefa] Pajestkę i [Antoniego] Rajkiewicza”. Po kilkunastu minutach zjawili się obaj wraz z profesorem prawa pracy Uniwersytetu Gdańskiego Czesławem Jackowiakiem.

Pod koniec obrad Jagielski zaproponował głośno – co zostało przyjęte przez Wałęsę – utworzenie grupy roboczej w składzie po trzech członków komisji rządowej i członków prezydium MKS oraz po trzech ekspertów z każdej ze stron.

Nie pamiętam, czy było to jakoś sformalizowane, ale za przewodniczącego grupy roboczej strony rządowej uchodził wojewoda Kołodziejcki, a naszej – Andrzej Gwiazda. Pozostałymi delegatami MKS byli Bogdan Lis oraz Zdzisław Kobyliński. Mazowiecki wyznaczył do grupy roboczej siebie i mnie oraz zaproponował to chyba Geremkowi. W tym jednak momencie Jadwiga Staniszkis zażądała włączenia jej do grupy roboczej, powołując się na swoje – jako socjologa – zainteresowania oraz

⁷ Autor wyjaśnia w innym, nieukończonym tekście, pisany na początku lat osiemdziesiątych: „Chyba wszyscy doradcy uważali to hasło za mało realne. W całym obozie radzieckim nawet pluralizm partyjny (przy zachowaniu oczywiście dominującej roli komunistów) był mniej rygorystycznie traktowany niż związkowy. We wszystkich krajach obozu (także w Jugosławii w czasie schizmy) związki zawodowe były podporządkowane jednej centrali i kontrolowane przez partię rządzącą. Związki zawodowe wolne nie tylko od państwa, lecz również od partii – takie wyzwanie było czymś więcej niż słynne wyzwanie Marcina Lutra wobec kościoła”. (red.)

⁸ „Gdy zaczynaliśmy pracę w Gdańsku, zaznaczyła się wyraźna różnica między Tadeuszem i Bronkiem, którzy mieli o całe dwa dni dłuższy staż, a nami, przybyłymi dopiero w niedzielę. Obserwowałem wyraźny przyływ radykalizmu nie tylko u Bronka, czego może bym się spodziewał, lecz również u Tadeusza, znanego raczej jako człowiek pełen rozważli, umiaru i odpowiedzialności” (*ibidem*). (red.)

⁹ „Wymiana zdań na temat zasadniczy przekształciła się szybko w dyskusję na temat naszej roli. Przekonało nas stanowisko Bronka i Tadeusza – my jesteśmy tu po to, żeby dawać racjonalizację formułowanych przez Komitet Strajkowy żądań. Żądanie wolnych związków zawodowych zostało już wysunięte i my możemy je tylko rozwinąć” (*ibidem*). (red.)

kompetencje. Sytuacja była kłopotliwa, bo Mazowiecki przystał na to, zdaje się, dopiero wówczas, gdy Geremek zaproponował, by Staniszkis wszedł na jego miejsce. Nie przypuszczam, żeby Mazowiecki kierował się w tym momencie niechęcią do Staniszkis. Sam jednak raczej powolny i milczący, starał się dobrać do tej grupy takich współpracowników, którzy potrafią milczeć, gdy trzeba. Pełna temperamentu, uchodząca za „pistoletową” Jądwiga byłaby tej cnoty zaprzeczeniem.

Odnotujmy tu jeszcze inne osoby czynne w stoczni w podobnym charakterze. Chyba następnego dnia po powołaniu komisji ekspertów dołączyli do niej: socjolog, autor znanych esejów o humanizmie socjalistycznym Jan Strzelecki oraz profesor prawa Uniwersytetu Warszawskiego Jerzy Stembrowicz (obaj, podobnie jak Wielowieyski, członkowie Konwersatorium DiP). Ponieważ Mazowiecki nie chciał robić precedensu kooptacji, obaj funkcjonowali jako konsultanci komisji. Stembrowicz brał żywy udział w opracowaniu punktu trzeciego (cenzura). Jego pomysłu i redakcji była przyjęta ostatecznie w porozumieniu gdańskim zasada jawności decyzji i dokumentów urzędów państwowych. Natomiast Leszek Kubicki, który już wcześniej wyrażał zasadnicze wątpliwości na temat naszego statusu, oświadczył, że przyjechał w przekonaniu, iż będzie rzeczoznawcą obu stron – zarówno strajkujących, jak i strony rządowej, a ponieważ jest inaczej, nie przyjmuje udziału w komisji i wyjeżdża.

Prezydium MKS korzystało też z pomocy dwóch miejscowych prawników: Lecha Kaczyńskiego oraz Jacka Taylora (przygotowali materiały pomocnicze do postulatu czwartego dotyczącego więźniów politycznych). Pod koniec tygodnia przybyli do stoczni dwaj prawnicy warszawscy: znany obrońca Jan Olszewski i profesor prawa Uniwersytetu Warszawskiego Andrzej Stelmachowski.

Negocjacje

Pierwsze posiedzenie grupy roboczej odbyło się jeszcze tego samego dnia (we wtorek). Miało ono na celu wstępną wymianę poglądów, a zwłaszcza zestawienie problemów, które powinny być zawarte w porozumieniu.

W dyskusji ujawnił się następujący podział. Przedstawiciele MKS i ich eksperci kładli nacisk na powołanie „niezależnych” związków zawodowych (już wówczas zaczęliśmy używać tego przymiotnika, by nie stwarzać wrażenia pokrewieństwa z Wolnymi Związkami Zawo-

dowymi na Zachodzie). To jedyny sposób rozwiązania kryzysu – stwierdzali. Po tej decyzji, powziętej podczas strajku, przyszłyby później prawne dopasowania.

Strona rządowa natomiast próbowała nas przekonać, że strajk powinien się zakończyć publicznym zobowiązaniem stron do zapewnienia demokracji w wyborach delegatów na kongres związkowców oraz dyskusji nad przyszłym kształtem związków zawodowych. Kongres miały podjąć wiążące decyzje. Pewną gwarancją tej demokratyzacji miałyby być rozwiązanie Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych Wybrzeża Gdańskiego i przekazanie jej funkcji MKS-owi.

Nie mam niestety żadnych notatek z przebiegu tej dyskusji. Nie polegam jednak tylko na pamięci, gdyż w moich papierach zachowały się z tego okresu dwie kartki z tezami odzwierciedlającymi powyższe dwa stanowiska. Na jednej mowa jest o kompromitacji dotychczasowych związków i konieczności powołania nowych i niezależnych, o sytuacji prawnej przyszłych związków, o prawie do strajku i konieczności zmiany kodeksu pracy, o przyszłych wyborach i sposobie przekształcenia MKS w Komitet Założycielski, wreszcie o związku inteligencji z robotnikami przez powołanie Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych.

Na drugiej zaś kartce trzy kluczowe punkty przedstawione przez delegację rządową brzmiały następująco:

- zawieszają się Wojewódzką Radę Związków Zawodowych (w Gdańsku) aż do kongresu, a jej funkcje przejmuje Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który przygotowuje wybory delegatów na kongres;
- podczas kongresu i w zależności od jego wyników MKS podejmuje decyzję o rozwiązaniu się lub przekształceniu w niezależny związek zawodowy;
- w okresie wyborczym przedmiotem dyskusji jest możliwość zachowania odrębności ruchu zawodowego na Wybrzeżu na zasadach eksperymentu terytorialnego.

Podczas dyskusji odnosiłem wrażenie, że przedstawiciele strony rządowej sami nie bardzo wierzyli w realność swych propozycji. Raczej wydawało mi się, że przedstawiali stanowisko „góry” z obowiązku. Przy okazji natomiast chcieli poznać poglądy naszej strony. Wydawało mi się też, że szybko uwierzyli naszej argumentacji, że stanowisko robotników w sprawie powołania nowych związków zawodowych jest tak kategoryczne, iż nie ma się co łudzić, że półśrodki ich zadowolą. W tej pierwszej dyskusji czynni byli głównie eksperci

obu stron. Częściowo mogło to wynikać stąd, że pochodzili w większości z tego samego środowiska stołecznej inteligencji, znali się więc osobiście lub o sobie słyszeli, a częściowo stąd, że punkt ciężkości dyskusji przeniósł się na sprawy prawne, czasem proceduralne. Przdował w tym zwłaszcza prof. Jackowiak, który wydawał się mnożyć trudności proceduralne wokół tego postulatu MKS. Było w tym zapewne mniej taktyki niż skrzywienia profesjonalnego. Prawnikowi na pewno musiało się wydawać, że poprawienie starych związków zawodowych jest łatwiejsze niż tworzenie nowych.

Po wtorkowym odprężeniu środa była dniem kryzysowym. Nie doszło do spodziewanej kolejnej rundy negocjacji. Zamiast tego wicepremier Jagielski starał się doprowadzić do spotkania w siedzibie wojewody z paroma przedstawicielami MKS. Oczywiście bez ekspertów. Wałęsa i prezydium odrzucili tę propozycję. Po paru godzinach dochodzi więc – jak gdyby w zastępstwie – do kolejnego spotkania grupy roboczej w stoczni. Dyskusja z miejsca przybrała charakter polityczny i toczyła się w znacznie mniej pogodnej, chwilami wręcz nieprzyjemnej atmosferze.

Pierwszym i głównym mówcą był wojewoda Kołodziejski. Powiedział na wstępie, że przed południem nie doszło do spotkania, gdyż delegacja rządowa chciała uzyskać pewne wstępne wyjaśnienia w wąskim gronie. Następnie przedstawił dezyderaty strony rządowej. Przypominając o rozbiciu ruchu zawodowego w świecie, czyli istnieniu różnych central związkowych, domagał się jednolitej reprezentacji polskich związkowców za granicą. Innym dezyderatem było wyraźne ograniczenie terenu działania nowych związków zawodowych do Wybrzeża. Przede wszystkim jednak skupił uwagę na konieczności jasnej i jednoznacznej deklaracji politycznej MKS o „nienaruszalności ustroju oraz kierowniczej roli partii”, a także na konieczności określenia ideowego charakteru przyszłych związków zawodowych. Kołodziejski twierdził, że deklaracja tego typu jest warunkiem uzyskania „centralnej akceptacji” i że „musimy się wylegitymować jakąś formułą wobec układu zewnętrznego”.

Wszyscy obecni członkowie delegacji rządowej oraz jej eksperci argumentowali na różne sposoby na rzecz owej deklaracji politycznej. Rajkiewicz dowodził, iż taka deklaracja przeciwdziałałaby propagandzie zagranicznej, która przedstawia strajk jako próbę zasadni-

czej zmiany ustroju. Pajestka zauważył, że „wszystko, co idzie od nas na zachód, powraca następnie do nas ze wschodu”. Przestrzegał też, że jeśli się chce od razu dużo połączyć, to można się udławić.

Rzeczywistymi partnerami dyskusji w sprawie deklaracji politycznej byli tym razem delegaci strajkujących, zwłaszcza Gwiazda i Kobyliński. Wprawdzie żaden z nich nie kwestionował możliwości umieszczenia deklaracji w porozumieniu, obaj jednak przekonywająco mówili o kryjących się za nią pułapkach.

Gwiazda stwierdził, że kierownicza rola partii oznacza w praktyce monopol na decyzje gospodarcze, które są wyjęte spod krytyki. Dlatego dużo jest szkodliwej kampanijności. „Jak kombinaty, to wszyscy za kombinatami, jak fabryki domów, to wszyscy za fabrykami domów”. U źródeł tej kampanijności leży jego zdaniem nomenklatura wykluczająca jakąkolwiek kontestację polityki centrum. Ten sam temat poruszył Kobyliński. Mówił: „Nie chcemy ataku na partię ani ingerowania w jej sprawy wewnętrzne. Chodzi jednak o to, żeby przynajmniej na niskim szczeblu kandydaci na stanowiska kierownicze nie byli przywożeni w teczce, lecz żeby o nominacji decydowała fachowość i uczciwość”. Zapewniał też, że po zakończeniu strajku i załatwieniu spraw, które go wywołały, ludzie chętnie wrócą do pracy.

W tym miejscu wojewoda Kołodziejski powiedział, że ludzi pracy to on się nie obawia, bo ich dobrze zna, co zabrzmiało jak próba przeciwstawienia robotników inteligentom, a konkretniej strajkujących – osobom wspomagającym, zapewne głównie ekspertom.

W trójce ekspertów MKS nastąpiło podczas tej debaty początkowo niedostrzeżone lub zlekceważone rozbicie. Mazowiecki i ja raczej milczeliśmy, uważając, że zwłaszcza w tego typu sprawach powinniśmy dać zdecydowane pierwszeństwo rzeczywistym przedstawicielom robotników. Jedyną osobą spośród ekspertów, która zabierała głos parokrotnie, była Jadwiga Staniszkis. Wiele jednak przyczyn złożyło się na to, że do jej komentarzy negocjujących potrzebę zawarcia deklaracji politycznej w porozumieniu nie przywiązywaliśmy większej wagi. Nie zwróciłem też uwagi na jej wcześniejsze wyjście z posiedzenia. Pryncypialny charakter obu tych jej kroków uświadomiłem sobie dopiero później, gdy zobaczyłem ją na dziedzińcu stoczni, kiedy oświadczyła dziennikarzom, iż na znak protestu przeciwko zgodzie na znaną formułę o kierowniczej roli partii opuściła grupę roboczą

i nie ma zamiaru brać udziału w jej dalszych pracach. Nie pomnę jednak, czy było to przed, czy po zebraniu prezydium.

Jeszcze tego wieczoru odbyło się zebranie prezydium MKS wraz z ekspertami, na którym zreferowaliśmy przebieg spotkania grupy roboczej, a zwłaszcza dezyderaty komisji rządowej przedstawione przez wojewodę Kołodziejskiego. Głównym referentem był Mazowiecki. Nie pamiętam (moje notatki nic o tym nie mówią), czy Jadwiga Staniszkis brała udział w tym zebraniu. Pamiętam jednak, i to znajduje odbicie w notatkach, że ku memu zaskoczeniu sprawa główna nie wzbudziła u zebranych większego zainteresowania. Znacznie większe ożywienie i różnice zdań wywołała inna, drobna stosunkowo sprawa poruszona również przez Mazowieckiego – sprawa felietonu w najnowszym biuletynie strajkujących, krytykującego sposób negocjacji przez Jagielskiego, o czym piszę później.

Niezależnie jednak od przebiegu dyskusji wyszliśmy z niej w przekonaniu, iż prezydium zleciło nam opracowanie tekstu deklaracji politycznej, możliwej do zaakceptowania przez obie strony. Tekst ten powstał w gronie ekspertów MKS. Głównym autorem był Mazowiecki. Jego zasługą był pomysł symetrycznej formuły politycznej, nakładającej zobowiązania na obie układające się strony. Po zobowiązaniu MKS, że nowy związek zawodowy będzie przestrzegał konstytucji, uzna zasadę społecznej własności jako podstawę ustrojową oraz nie będzie kwestionował kierowniczej roli partii w państwie i sojuszów międzynarodowych, następowała seria zobowiązań ze strony władzy: zagwarantowania pełnej niezależności i samorządności nowego związku oraz warunków umożliwiających pełnienie jego podstawowych funkcji, a także odpowiedniej zmiany ustawodawstwa.

W czwartek rano odbyło się kolejne zebranie prezydium MKS z udziałem ekspertów, poświęcone przygotowanej przez nas propozycji na temat pierwszego postulatu. Projekt nasz, który odczytał wówczas zebrany Mazowiecki, nieznacznie tylko odbiegał od ostatecznego tekstu porozumienia. Używaliśmy już wówczas dwuprzymiotnikowej nazwy związku („niezależne” i „samorządne” – pierwszy termin pochodził, jak mi się wydaje, od Mazowieckiego, a drugi ode mnie), chociaż posługiwaliśmy się też mniej obowiązującym określeniem „nowe” i nie przestrzegaliśmy kolejności, by nie traktowano jeszcze tego jako

wiążącej propozycji nazwy. Z większych zmian, które później wprowadzono, było zaproponowane przez jednego z ekspertów rządowych (Pajestkę) zobowiązanie, że związek nie będzie odgrywał roli partii politycznej.

I znów powtórzyła się sytuacja z dnia poprzedniego. Tekst nie wywołał opozycji ze strony prezydium. Jedyną merytoryczną zmianę zaproponował Florian Wiśniewski, by zrezygnować z Wybrzeża jako terenu działania nowych związków zawodowych i wprowadzić słowa „w całym kraju”. Pamiętam, że na tę propozycję zareagowałem zbyt ostro, za co go natychmiast przeprosiłem. Nikt inny jednak nie poparł Wiśniewskiego i wniosek upadł.

Nieco żywiej dyskutowano propozycję Wałęsy, żeby już teraz odczytać projekt na sali plenum MKS. Mazowiecki radził, by tymczasem jeszcze tego nie czynić, gdyż jeśli tekst „pójdzie w świat” za pośrednictwem licznych korespondentów zagranicznych, utrudni to rozmowy z delegacją rządową. Wałęsa zgodził się z tą uwagą, tak też rozumiałem milczenie pozostałych członków prezydium. Być może jednak owa zgoda była dość pozorna, gdyż później sprawa ta powracała jeszcze niejednokrotnie.

Zresztą już tego poranka mieliśmy przedsmak niepokojów wokół braku informacji. Wracając z Mazowieckim i Cywińskim do stoczni po nocy przespanej u pallotników, zaczęliśmy rozmowę z pewnym starszym stoczniovcem, uczestnikiem demonstracji w grudniu 1970. Powiedział nam, że ludzie są zaniepokojeni nikłością informacji, dlatego stają się podatni na najróżniejsze plotki. Zgadaliśmy się oczywiście z nim. Ale byliśmy w trudnej sytuacji. Można było się na początku nie zgodzić na pracę w grupach roboczych. Należało bowiem przypuszczać, że będą one, w pewnych przynajmniej ramach, używane jako substytut rozmów plenarnych odbywających się pod kontrolą publiczną. Jeśli się jednak na to zgodzono, należało respektować niewiązący charakter prac w grupach roboczych, przygotowujących tylko projekty. Właśnie dlatego, że toczyły się w małym gronie, bez udziału dziennikarzy, można było bardziej liczyć na merytoryczną dyskusję. Inaczej mówiono by „do mikrofonu”. Nawet eksperci przemawialiby jak politycy, bardziej zwracając uwagę na efekt publiczny niż na meritum sprawy.

Postanowiliśmy jednak z Cywińskim choć trochę przyczynić się do lepszego informowania. Zaraz po tej

rozmowie napisaliśmy komunikat o środowym spotkaniu grupy roboczej, wymieniając sprawy omawiane. Ale punkt najważniejszy, który później zaczął budzić wiele namietności, został streszczony w następującym ogólniku: „Stosunek nowych związków zawodowych do założeń ustrojowych”. Tyle zaś to wiedzieli wszyscy, gdyż była o tym mowa, właśnie w formie ogólnej, podczas wtorkowych negocjacji plenarnych.

Podchwyciliśmy też projekt stoczniońca, „żeby strajkujących jakoś zająć, na przykład odpowiedziami na ankietę”. Szybko opracowaliśmy projekt ankiety na temat kształtu przyszłych związków zawodowych (jaką proponują nazwę, czym by się miały głównie zajmować, jaką by miały strukturę organizacyjną). Mazowiecki jednak kategorycznie nam to odradził. Nie pamiętam jego głównego argumentu. Myślę jednak, iż chodziło mu głównie o możliwość podrzucenia nam sfalszowanych odpowiedzi z zewnątrz. Nie mogliśmy odmówić mu racji. Prawie na oczach ginęły nam różne teksty, dlatego niektórzy z nas, np. ja, podczas pracy trzymali pod stopą niepotrzebne w danej chwili dokumenty.

Powróćmy do pracy ekspertów. Na posiedzeniu prezydium z udziałem ekspertów, które odbyło się w czwartek rano, przed zapowiedzianymi negocjacjami, ustalono, że negocjacje plenarne będą dotyczyły dalszych postulatów (we wtorek skupiono się na pierwszym), natomiast grupa robocza będzie nadal pracowała nad postulatami pierwszym i drugim (nowy związek i prawo do strajku).

Grupa robocza – w składzie: wojewoda Kołodziej-ski, jego współpracownik Tadeusz Bruski, Czesław Jackowiak, Leszek Starosta (docent prawa Uniwersytetu Gdańskiego) i ktoś jeszcze ze strony rządowej oraz Gwiazda, Lis, Kobyliński, Mazowiecki, Geremek i ja ze strony MKS – zebrała się po południu. Prawie nie powracano do postulatu pierwszego, dyskutowano natomiast nad prawem do strajku i cenzurą.

Przepisałem w swym brulionie przedstawione przez stronę rządową na piśmie stanowisko w sprawie strajku. „Prawo do strajku powinno zostać zagwarantowane w przygotowywanej ustawie o związkach zawodowych. Ustawa powinna określić warunki proklamowania i organizowania strajku, metody rozstrzygania spornych spraw i odpowiedzialności za naruszenie prawa”. Szybko się zgodzono na stwierdzenie, że w stosunku do uczestników strajku nie mogą mieć zastosowania nadużywane

dotychczas artykuły 52, 64 i 65 obowiązującego kodeksu pracy. Spór dotyczył natomiast dwu rzeczy: gwarancji dla osób wspomagających strajk oraz okresu przejściowego między podpisaniem porozumienia i wejściem w życie przyszłej ustawy. Kompromis polegał na dodaniu jednego zdania rozstrzygającego obie sprawy: „Do czasu ustawy rząd gwarantuje strajkującym i osobom wspomagającym bezpieczeństwo osobiste i utrzymanie dotychczasowych warunków pracy”. Nie zgodziliśmy się natomiast na dodanie, iż wyjątek stanowią czyny naruszające przepisy prawa – Gwiazda i Lis kwestionowali charakter niektórych przepisów, a zwłaszcza ich dowolną, ich zdaniem często naciąganą interpretację.

Ani notatki, ani pamięć nie pozwalają mi odtworzyć okoliczności, w których – wbrew pierwotnym ustaleniom – przeszliśmy w dalszej części owego spotkania do dyskusji nad postulatem trzecim (cenzura). Być może strona rządowa nalegała już w tej fazie na przyspieszenie prac albo też wcześniejsze ustalenia zostały zmodyfikowane pod koniec negocjacji plenarnych. Nie potrafię też odtworzyć, jak to się stało, że sprawy cenzury znalazły się „na warsztacie” grupy roboczej, która została powołana do opracowania propozycji porozumienia w sprawie postulatu pierwszego (i może w domyśle ściśle z nimi związanego postulatu drugiego – prawa do strajku). Możliwe, iż wcześniejszy podział zadań został zmieniony niejako automatycznie. Wzięto pod uwagę doświadczenie dotychczasowej grupy roboczej i uznano, że zmiana składu nie ułatwiłaby, lecz utrudniła dalszą pracę. Zmiany w składzie grupy roboczej były niewielkie. Pajestka i Rajkiewicz zatrzymani zostali w Warszawie, zajęci, zdaje się, rozmowami na temat negocjacji. Dołączono więc jeszcze jednego prawnika (L. Starostę). Po naszej stronie coraz mniej był aktywny (i później chyba się wyłączył z prac w tej grupie) Kobyliński. Wyłączyli się też sporo Gwiazda i Lis. Dołączył natomiast główny referent z ramienia prezydium podczas negocjacji plenarnych w sprawie cenzury pisarz Lech Bądkowski oraz prawnik Jerzy Stembrowicz.

Strona rządowa zaskoczyła nas tym razem, bo w odniesieniu do obu postulatów (drugiego i trzeciego) przyszła z przygotowaną na piśmie propozycją.

Ujęcie spraw cenzury był wybitnie niezadowolające. Być może było dziełem niezorientowanego jeszcze, nowego członka grupy roboczej, Starosty. Uderzała przede wszystkim próba ustawowego utrwalenia poglądu, że

cenzura powołana jest do powstrzymywania publikacji „treści wrogich socjalizmowi”. Wystarczyła jednak moja ironiczna uwaga, że teraz trzeba określić, kto będzie orzekał, że dane poglądy są wrogiem, by strona rządowa odstąpiła od swego projektu. W wyniku dyskusji na tym i następnym posiedzeniu wstępna propozycja rozrosła się z jednego do czterech punktów. Na wniosek przedstawicieli MKS i jego doradców sprecyzowano zadania cenzury oraz dodano następujące postulaty: termin trzech miesięcy na wniesienie projektu ustawy przez rząd do sejmu, zaskarżalność cenzury do sądu administracyjnego, zobowiązanie rządu do transmisji mszy, zapewnienie pluralizmu poglądów dopuszczonych w środkach masowego przekazu, poddanie ich społecznej kontroli oraz zasadę jawności dokumentów publicznych.

W świetle późniejszych doświadczeń nad projektem ustawy o cenzurze uważam, że w jednym punkcie nie zdaliśmy egzaminu. Zachowanie przywileju cenzury do strzeżenia „ważnych interesów międzynarodowych państwa” było niebezpieczne. Dawało władzom prawo do arbitralnego decydowania, co jest interesem międzynarodowym. Autorzy i obrońcy później powstałego społecznego projektu ustawy o cenzurze słusznie wskazywali, że w przeszłości nie wolno było krytykować szacha Iranu, ponieważ rząd Polski utrzymywał z nim dobre stosunki.

W piątek odżyła niespodziewanie dyskusja nad postulatem pierwszym. Powtórzyła się sytuacja ze środy. Delegacja rządowa nie przybyła na przewidziane na 12.00 rozmowy plenarne, zawiadamiając nas, że nie jest do nich jeszcze przygotowana. W zamian za to zaproponowała spotkanie grupy roboczej. Bogdan Lis skomentował to na dużej sali MKS tak: „Komisja rządowa robi nas w konia”. Podobnie mówił o tym Gwiazda. Gdy zaś o godzinie 13.00 doszło do posiedzenia grupy roboczej, wojewoda Kołodziejski z miejsca narzucił przedmiot debaty. Powiedział, że pozostały jeszcze do wyjaśnienia pewne sprawy związane z postulatem pierwszym. Zaproponował, by omówił je prof. Rajkiewicz. Można więc z tego wnosić, że w długim i bardzo osobistym przemówieniu Rajkiewicza znalazły się punkty uzgodnione wcześniej w łonie komisji rządowej lub jej części. Myślę, że trzy sprawy należały do tej kategorii.

1) Złagodzenie negatywnej oceny dotychczasowych związków zawodowych. Ostrzejsze słowa o ich kompro-

mitacji zostały więc zastąpione twierdzeniem, że ich działalność „nie spełniła nadziei i oczekiwań pracowników”.

2) Dążenie do zmniejszenia wrażenia dychotomicznego wyboru między starymi i nowymi związkami zawodowymi przez stworzenie wielu możliwości. Dlatego w czwartym punkcie pierwszego postulatu (niezbyt zresztą w zgodzie z duchem pierwszych trzech) mówi się o możliwości przekształcenia komitetów strajkowych „w zakładowe organa reprezentacji pracowniczych, takie jak komitety robotnicze, komitety pracownicze, rady robotnicze bądź komitety założycielskie nowych samorządnych związków zawodowych”. Pozostawiono też do wyboru, czy komitet założycielski zechce stworzyć jeden związek, czy też nowe zrzeszenie, ograniczone jednak do Wybrzeża.

3) Trzecią sprawą była sprawa sposobu rejestracji nowych związków zawodowych. Wtedy to Rajkiewicz przywiózł z Warszawy wstępną zgodę na rejestrację w sądzie. Nasza strona zabiegała początkowo, by był to sąd administracyjny, do którego praktyk (jako do nowej instytucji) były wśród strajkujących mniejsze zastrzeżenia. Zgodziliśmy się jednak ostatecznie na sąd powszechny.

Ogólnie odnosiło się wrażenie, że jesteśmy bliscy zgody władz na nowe związki zawodowe. Troską komisji rządowej było teraz tylko zmniejszenie wrażenia zwycięstwa odniesionego przez strajkujących. Chodziło zwłaszcza o zaakceptowanie poglądu, że przygotowane porozumienie jest zwycięstwem pewnej polityki, w której nie ma zwycięzców i pokonanych (wtedy właśnie padało określenie po raz pierwszy).

Sobota była ostatnim dniem pracy grupy roboczej. Pracowaliśmy zarówno przed południem, jak i po południu nad czterema pierwszymi postulatami o charakterze politycznym. Nie pamiętam niestety nic ani nie mam też w notatkach o dyskusji w sprawie więźniów politycznych i represjach (zapewne wciągnęło mnie bardziej to, co się działo na sali ogólnej i na terenie stoczni niż w grupie roboczej). Odnótowałem tylko, że po południu zjawił się po stronie rządowej profesor i poseł w jednej osobie Adam Łopatka, który wcześniej brał udział w rokowaniach szczecińskich. Pamiętam też moment powołania (chyba w sobotę rano) nowej grupy roboczej dla opracowania postulatów socjalno-ekonomicznych. Spośród członków prezydium MKS najbardziej

czynni byli w niej Florian Wiśniewski i Alina Pieńkowska. Zdaje się, że przeszedł do niej również Zdzisław Kobylański. Zaś spośród naszych doradców najbardziej czynni byli w tej grupie roboczej Waldemar Kuczyński i Andrzej Wielowieyski, którzy zresztą już wcześniej opracowywali pierwsze projekty porozumienia w sprawach gospodarczych.

Głównym autorem tekstu w sprawie wyjścia z kryzysu gospodarczego i reformy gospodarczej (postulat szósty) był Waldemar Kuczyński. Postulaty zwiększenia zakresu dostępnej informacji oraz stworzenia możliwości szerokiego uczestnictwa w publicznej dyskusji nad reformą, a także w sprawie rolnictwa (trwałe perspektywy dla rolnictwa indywidualnego, zrównanie sektorów państwowego, spółdzielczego i indywidualnego w dostępie do środków produkcji, odrodzenie samorządu wiejskiego) nie budziły sporów i przyjęto je jako podsumowanie często wypowiedzianych opinii.

Inaczej miała się sprawa z postulatem samorządu robotniczego. Większość doradców z grupy Mazowieckiego byli to zwolennicy reformy gospodarczej opartej na decentralizacji i samorządzie, a obaj główni doradcy rządowi – Józef Pajestka i Antoni Rajkiewicz mieli może nie równie daleko idące, ale zbliżone poglądy. Ich zainteresowanie samorządem miało chyba swe główne źródło w wielkim rozczarowaniu do biurokracji gospodarczej, od lat obserwowanej przez obu z bliska. W niej też widzieli oni główną przeszkodę na drodze do reformy. Szukali więc oparcia u robotników, pragnąc ich pozyskać dla sprawy reformy opartej na samorządzie. Ze strony strajkujących pracowników i ich przedstawicieli nie było jednak żadnych skłonności do rozwijania samorządu. Składały się na to, jak sądzę, dwie przyczyny. Pierwsza to totalna kompromitacja dotychczas istniejących, a właściwie wegetujących, Konferencji Samorządu Robotniczego, z którymi ludzie często utożsamiali samo pojęcie samorządu robotniczego. Drugą była może jeszcze głębsza. Była to często spotykana u robotników niechęć do wszelkich instytucji oficjalnych, do polityki i do współdziałania z władzami nawet na najniższym szczeblu. Nawet dyrektora przedsiębiorstwa uważano powszechnie za reprezentanta władzy państwowej. Jeśli więc ostatecznie w porozumieniu znalazł się ustęp o żądaniu reformy gospodarczej opartej na zwiększonej

samodzielności przedsiębiorstw i rzeczywistym uczestnictwie samorządu robotniczego w zarządzaniu, to przez delegatów strajkujących uważano to za ustępstwo dla strony rządowej lub za daninę na rzecz własnych doradców.

Kierownicza rola partii i więźniowie polityczni

Powrócę jednak do piątku, który był pod wieloma względami krytycznym dniem, co odnotowali reporterzy. „Zarówno w gmachu K[omitetu] W[ojewódzkiego], jak i na terenie stoczni od rana atmosfera impasu. Nikt nie wie, kiedy zostaną wznowione rokowania ani czego się po nich można spodziewać. Ogólna niepewność i dezorientacja”¹⁰. W stoczni kwestia informacji jest jedną z przyczyn frustracji. Wielu strajkujących wie, że projekt porozumienia w sprawie związków zawodowych jest w zasadzie gotowy. Że posiadają go obydwie strony. Komisja rządowa otrzymała go w czwartek, ale nie była gotowa do publicznej na ten temat debaty. Najwidoczniej postanowiono najpierw przekonsultować tekst w Warszawie i dopiero po uzyskaniu akceptacji w kwestiach zasadniczych uczynić go przedmiotem rokowań. Ale to oznaczało, że znów odwleczono podanie tekstu do wiadomości publicznej. Fakt, że jedynym miejscem, gdzie się pracuje, jest pokój ekspertów, skupia uwagę i niechęć. Niech znów mówią reporterzy: „Czemu coraz więcej rozmów odbywa się w grupach i podkomisjach? Czyżby chciano »wykolegować« prezydium? Gwiazda wyjaśnia, że na małej sali obrad, bez transmisji, można pertraktować bez skrępowania, bez obawy, iż każde słowo o polskich sprawach wewnętrznych natychmiast rozejdzie się po świecie. Nie wszystkich to przekonuje”¹¹. Jest to nader delikatne przedstawienie narastającej frustracji wśród strajkujących.

Sprawa niedostatku informacji jest zresztą pochodną tego, że długie godziny upływają w przeświadczeniu, iż w stoczni nic się nie dzieje, a główna batalia o wolne związki zawodowe została przeniesiona na szczyty władzy. Podstawową przyczyną frustracji jest wielka niepewność co do ostatecznych wyników rokowań. Dodać do tego trzeba coraz to nowe ataki prasy krajowej i sąsiadów na siły antysocjalistyczne oraz mnóstwo alarmujących plotek, np. o przygotowywanym desancie

¹⁰ W. Giełżyński, L. Stefański, *Gdańsk – sierpień 1980*, Warszawa 1981, s. 164–165. (T.K.)

¹¹ *Ibidem*, s. 167.

na stoczną, zaciskającym się pierścieniu wojska i służb specjalnych wokół Gdańska.

Nie tylko plotki. Są także niepokojące informacje. Zwłaszcza te o powiększającej się liczbie aresztowanych, przede wszystkim z KOR i redakcji „Robotnika”, czyli w środowisku związanym ze strajkującymi¹². Rozszerzające się aresztowania musiały stwarzać wrażenie nieszczerości władz w czasie rokowań. Zresztą wielu uczestników strajku (zwłaszcza jego przywódcy) miało prawo się obawiać, że przy najbliższej okazji oni sami staną się ofiarami represji.

Część frustracji strajkujących kierowała się nie tylko przeciw ekspertom, lecz również przeciw członkom prezydium, zwłaszcza przeciw Wałęsie. Również oni ulegali zmiennym nastrojom. Co wczoraj im się wydawało słuszne, dzisiaj budziło wątpliwości. W szczególności zaczęła wzbudzać zastrzeżenia formuła o kierowniczej roli partii. Sensowność dokonanego ustępstwa zaczęły podważać właśnie aresztowania, gdyż postępowanie władzy burzyło symetrię obustronnych zobowiązań. Z jednej strony władza oświadczała, że pragnie rozwiązywać konflikty w drodze rokowań, za pomocą środków politycznych i w ramach praworządności, a z drugiej postępowała samowolnie, nie przestrzegając prawa.

Nie tylko więc poczucie solidarności z aresztowanymi powoduje, że coraz częściej odzywają się głosy, by z władzą nie pertraktować, dopóki aresztowani nie zostaną zwolnieni. Tym bardziej – nie podpisywać porozumienia przed ich wypuszczeniem.

Co więcej, rodzą się tendencje, by „z własnego nadania brać prawa”, czyli zakładać nowy związek zawodowy, nie czekając na zgodę władzy. W gronie osób wspomagających budzą teraz mniej zaufania ci, którzy postawili na rokowania, niż ci, którzy od początku głosili nieufność wobec władzy.

Jeden z konfliktów umknął uwadze obserwatorów i autorów wspomnień.

Jego zapowiedzią był incydentalny spór o artykuł redakcyjny *Z kim rozmawiamy?* w strajkowym biuletynie „Solidarność”, personalnie atakujący wicepremiera Jagielskiego za sposób prowadzenia wtorkowych rokowań. Sens artykułu zawarty jest w zdaniu: „im częściej Pre-

mier powtarza o swojej szczerości, tym bardziej szczerzy śmiech ogarnia zebranych na sali obrad”¹³. Redaktorzy twierdzili, iż całe dotychczasowe doświadczenie robotników mówi im, że podstawowym celem władzy jest ich oszukiwanie. Tak też się dzieje i teraz, podczas rokowań.

Artykuł ten podsunęto Jagielskiemu, sugerując w dodatku, że powstał on z inspiracji Tadeusza Mazowieckiego. Tak też przedstawiono tę sprawę na początku spotkania grupy roboczej w środę po południu. Jagielski powracał do tego dwukrotnie w czwartek. W chwili powitania powiedział do Mazowieckiego: „Czytam tu właśnie o mnie różne rzeczy”, a podczas rokowań zauważył, iż pisze się o nim, że uprawia dyplomację. „Jaki ja tam dyplomata” – powiedział.

Ponieważ status biuletynu był nieokreślony i w opinii publicznej uchodził za organ prezydium, Mazowiecki podniósł tę sprawę na środowym zebraniu prezydium. Twierdził, że gdy władza jest partnerem rokowań, to należy o niej pisać jak o partnerze, a nie posługiwać się językiem, który przekreśla wszelki sens dążenia do porozumienia. Wypowiedziana została przy tej okazji obawa, że przysły związek może odziedziczyć język niektórych pism niezależnych, co oznaczałoby, że język małej grupy, w pewnym sensie sekty, stałby się językiem ruchu masowego. Członkom prezydium felieton się raczej podobał, a w dyskusji, która przy tej okazji się rozwinęła, wszyscy wypowiadający się stanęli po stronie niezależności biuletynu od MKS.

W dwa dni później spór przybrał znacznie bardziej zasadniczy charakter. W piątek zauważyliśmy nagle, że prezydium jest jakby podzielone na dwie części. Jedna współpracuje z ekspertami grupy Mazowieckiego, stawiając nadal na porozumienie z rządem. Druga obraduje wespół z pracownikami w innym budynku nad statutem nowego związku i nad niezwłocznym przystąpieniem do tworzenia związku, co miało postawić władze przed faktem dokonanym. Co więcej, pierwsze listy członków założycieli zaczęły krążyć wśród strajkujących.

Wydawało nam się wówczas, że tego typu akcja może poderwać zaufanie do MKS jako partnera rokowań, gdyż przygotowane porozumienie było oparte na zachowaniu

¹² W notatkach mam zapisaną rozmowę z Gajką (Grażyną Kuroniową). Odnoteowałem moje zadowolenie, że i ona jest za kompromisem. Ale zapewne przyjechała do Gdańska głównie po to, by głośniejsze upominać się o zaaresztowanego Jacka i innych korowców. (T.K.)

¹³ Autorką artykułu była Ewa Milewicz (*Z kim rozmawiamy?*, „Strajkowy Biuletyn Informacyjny Solidarność” nr 6, 27 VIII 1980). (red.)

pewnych ram legalności. Uważaliśmy, że skoro władza akcentuje wolę rozwiązywania konfliktów w drodze porozumienia, należy najpierw starać się wyczerpać te możliwości, a dopiero wówczas, kiedy ta droga zawiedzie, przejść do polityki faktów dokonanych. Zapewne i my nie odrzucilibyśmy podjęcia pewnych kroków przygotowawczych na wypadek, gdyby polityka negocjacji zawiodła. Dziwiło nas jednak, że nic nam o tym nie powiedziano.

Gdy doprowadziliśmy wreszcie (w piątek późnym wieczorem) do spotkania tych dwóch ośrodków, rolę otwartych oponentów negocjacji wzięły na siebie „osoby wspomagające” z grona redaktorów biuletynu, głównie matematyk Konrad Bieliński¹⁴. Uczestniczący członkowie prezydium raczej milczeli. Jeden z nich powiedział, że dotąd ograniczał się do służby informacyjnej dla strajkujących. Ponieważ jednak widzi, że rokowania nie przynoszą rezultatów, postanowił przejść do działania, by nie powstała taka sytuacja, że strajkujący opuszczą stocznnię z pustymi rękami. Atakując bezpośrednio Mazowieckiego i jego współpracowników, powiedział, że uprawiamy politykę „zakulisowo-gabinetową”, zastępując masy. On zaś opowiada się za polityką ruchu społecznego, polityką działania rewolucyjnego.

Pamiętam swoje kontrargumenty. Rokowania w stoczni, gdzie tylko MKS może podjąć wiążące decyzje, gdzie plenarne rokowania są jawne, a prezydium wspólnie z ekspertami może przygotować tylko podstawę do ostatecznych decyzji, nie mogą być uznane za „gabinetowe”. Rokowania właśnie otwierają szansę dla ruchu masowego, gdy tymczasem metoda faktów dokonanych może dać impuls do powstania wąskiego nurtu związkowego i zamiast milionów do tak powstającego związku trafić mogą tylko tysiące.

Przedłużeniem nocnego sporu było poranne zebranie prezydium z udziałem dwóch ekspertów (Cywińskiego i mnie), podczas którego winę za dotychczasowe niepowodzenia w rokowaniach (brak wyników) zwalono na ekspertów. Znacząco milczeli ci członkowie prezydium, którzy pracowali z nami w grupie roboczej. Cywiński się wówczas zdenerwował i powiedział: „W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak złożyć krótkie oświadcze-

nie i natychmiast wyjechać”. Nie doszło jednak do tego, gdyż, szczęśliwie, w chwilę potem zaczęto rozpowszechniać poufną wiadomość, że „Warszawa zaakceptowała” tekst porozumienia w sprawie pierwszego postulatu¹⁵. Przyniosło to ogólne odprężenie, na razie tylko wśród wybranych. Wystarczyło jednak, by atmosfera wokół ekspertów się radykalnie poprawiła.

Ale nie na długo. Byłem zaskoczony, jak szybko w ciągu tego dnia (soboty) odplynęła fala zadowolenia (że jednak rokowania przynoszą porozumienie) i na jej miejsce przyplęła wzbierająca fala niezadowolenia (że porozumienie daje za mało, czy że kompromis MKS poszedł za daleko). Chodziło przede wszystkim o pułapki kryjące się w omawianej deklaracji politycznej.

Zarówno wówczas, jak i później z zaskoczeniem stwierdziliśmy, że sens naszej formuły nie został zrozumiany. Użyliśmy w niej zwrotu o kierowniczej roli partii w państwie, co w naszym przekonaniu chroniło organizacje niepaństwowe, społeczne przed ingerencją partii. Państwo było synonimem władzy państwowej i do tego tylko chcieliśmy ograniczyć dominację partii komunistycznej. Uważaliśmy, że formuła zawarta w konstytucji jest znacznie dalej idąca, gdyż mówi o przodującej roli partii w budowie socjalizmu, w co zaangażowane jest całe społeczeństwo. Myśmy natomiast tą formułą chcieli powiedzieć tyle: nie będziemy kwestionować politycznej dominacji komunistów we władzy politycznej i to niezależnie od tego, jakim poparciem będzie się cieszyła w społeczeństwie. W zamian za to partia zobowiąże się do niewkraczania w życie społeczne poza swe rzeczywiste wpływy zdobyte przez członków partii wiarygodnością ich postępowania. W odniesieniu do nowych związków oznaczałoby to, że aparat partyjny nie będzie miał wobec nich żadnych uprawnień.

Z perspektywy czasu sędzę, że starając się w połowie zdania zawrzeć ów podstawowy problem, popełniliśmy błąd. Trzeba było wyraźnie oddzielić owe dwie zupełnie różne sfery – sferę uprzywilejowania komunistów w aparacie władzy od sfery komenderowania organizacjami społecznymi. Akceptując pierwsze, należało wyraźnie zastrzec samodzielność i niezależność nowego związku zawodowego. Był to błąd również dlatego, że

¹⁴ Nie zapisałem nazwisk uczestników. Zapewne po stronie redakcji byli to: Ewa Milewicz, Jan Narożniak, może Krzysztof Wyszkowski i ktoś jeszcze z miejscowych. Nie pamiętam, kto z grupy ekspertów prócz Mazowieckiego i mnie uczestniczył w sporze. (T.K.)

¹⁵ Przywiózł ją prawdopodobnie Antoni Rajkiewicz, który tego dnia był bardzo aktywny. (T.K.)

polityczni ekstremiści związkowi, którzy musieli się przecież wcześniej czy później ujawnić, mieli możliwość wykorzystania naturalnej i całkowicie zrozumiałej obawy wielu uczciwych i skłonnych do rozsądnego kompromisu robotników, że formuła o kierowniczej roli partii będzie interpretowana jako prawo do podporządkowania nowego związku partii. To przedsmak tego, co w znacznie większej skali miało nastąpić później.

W sobotę po południu, gdy w zmniejszonej grupie roboczej pracowaliśmy nad punktem trzecim i czwartym (cenzura i więźniowie polityczni), wtargnęła do pokoju (był to mały, długi pokój na lewo, zaraz przy wejściu do budynku BHP przez kontrolę przepustek) młoda, wyglądająca na inteligentkę kobieta i zwymyślała nas (było to wyraźnie skierowane przeciwko ekspertom MKS) za zdradę robotników, wykrzykując coś o judaszowych rękach. Znajdowałem się blisko drzwi i w pewnej chwili miałem wrażenie, że grozi nam czynna napaść. Miałem takie uczucie, jak gdybym wołał rozstrzelanie w sytuacji honorowej niż podrapanie twarzy tutaj. Pamiętam, że odestaliśmy ją do Wałęsy. Choć zdarzenie utknęło mi mocno w pamięci, potoku jej wykrzyczanych słów nie pamiętam dokładnie. Chodziło jej jednak wyraźnie o potępienie kompromisu z kierowniczą rolą partii. Jak się później dowiedziałem, była to dziennikarka z kręgu KPN.

Pod silnym wrażeniem tego zdarzenia starałem się od tej pory jak najczęściej bywać na dużej sali (plenium MKS), by znać nastroje i widzieć, co się dzieje. Starałem się też wychodzić na teren stoczni, by porównać nastroje sali z tymi panującymi wśród załogi, słuchać też, jak przyjmowany jest Wałęsa, gdy pojawia się przed publicznością spoza stoczni, gromadzącą się przy bramie nr 2.

Na sali plenium robiło się aż do wieczora coraz tłoczniej i coraz bardziej gorąco. Mam wrażenie, że liczba obecnych urosła do tysiąca lub ponad. Rozluźnione rygory przy wejściu wykorzystało wielu przybyszów z miasta, dotąd w strajku niebiorących udziału. Są to głównie miejscowi inteligenci. Lepiej poinformowany dziennikarz mówi mi, że na sali znaleźli się tutejsi współpracownicy KOR, „Robotnika”, Ruchu Młodej Polski, Konfederacji Polski Niepodległej.

Mało znającemu warunki miejscowe trudno powiedzieć, która grupa nadaje ton atmosferze. Łatwo jednak spostrzec jej ogólny charakter. Nie tylko kontestowany jest przygotowywany kompromis formuły politycznej, nie tylko coraz głośniejsze powtarza się żądanie zwolnie-

nia zatrzymanych, ale pretensje adresowane są coraz wyraźniej personalnie. Wobec prezydium, że za miękkie, że izoluje się od delegatów i strajkujących, wobec Wałęsy, że manipuluje, ukrywa, a nawet zdradza, wobec ekspertów za zakulisowe pertraktacje, za „konszachty” z władzą. Daje się też zauważyć pewien rozdźwięk w prezydium. Niektórzy z jego członków akcentują swój związek z salą, z „masami”, dystansując się od tych, którzy prowadzą rokowania.

Wałęsa, Gwiazda, Wiśniewski usiłują perswadować, uspokajać. Idzie im coraz trudniej. Nawet Wałęsa jest w coraz większych opatach. Tylko chwile spędzone przed gromadzącym się tłumem przy bramie dają mu poczucie trwającego nadal entuzjastycznego poparcia.

Gdy na krótko przed mającą się odbyć ceremonią uroczystego podpisania porozumienia przedzieram się przez salę, po raz pierwszy w ciągu tego wielkiego tygodnia czuję zapach alkoholu. Zwracam też uwagę na krzykliwą grupkę potencjalnych awanturników. Małe to pocieszenie, że na twarzach większości delegatów siedzących (była różnica w nastroju siedzących i stojących) widać ogromne znużenie – jak gdyby wiadomość o osiągniętej zgodzie zdemobilizowała wolę pogodnego wytrwania.

Pełen złych przeczuć – także pod wpływem wtargnięcia owej młodej dziennikarki, którą potem kilkakrotnie widziałem perorującą żywo do delegatów – gwałtownie zastanawiam się, co robić. Wchodząc do pokoju grupy roboczej, widzę zdesperowanego Wałęsę, który mówi do paru obecnych tu osób: „Sala buzuje, trzeba coś zrobić, żeby rozładować nastrój”. Mówię z przekonaniem: „Dziś to beznadziejne. Nie możemy nawet wziąć odpowiedzialności za bezpieczeństwo delegacji rządowej. Trzeba odłożyć podpisanie do jutra”. Wałęsa się z miejsca zgadza, poleca dzwonić do Jagielskiego i Kołodziejewskiego, mówiąc, że do podpisania nie jesteśmy jeszcze gotowi. Po drugiej stronie telefonu zaskoczenie i niezadowolenie, bo porozumienie szczecińskie jest już od wielu godzin podpisane.

Wałęsa teraz dodaje: „Na sali zebrano się sporo dziwnych typów. Trzeba zmienić przepustki i wzmocnić kontrolę wejścia”. Mówi nawet do kogoś z prezydium: „Ty musisz stanąć przy wejściu”.

Również niedziela była dniem huśtawki nastrojów. Wprawdzie surowa kontrola wchodzących zrobiła swoje, w wyniku czego manifestacje radykalnych postaw stały

się spokojniejsze, spory trwały jednak nadal. Ich przedmiotem była, jak poprzedniego dnia, sprawa kierowniczej roli partii, a przede wszystkim nadal trwających zatrzymań ludzi ze środowisk opozycyjnych. Wyraźniejszy niż wcześniej stał się rozdźwięk w samym prezydium. Nie ustawały, a może nawet wzmagaly się ataki na Wałęsę ze strony jego dotychczasowych bliskich współpracowników. Zarzucano mu, że stał się obojętny na los ludzi, którzy wcześniej pomagali strajkującym.

Jeśli odrzucić normalną w takich przypadkach przesadę w oskarżeniach, przedmiot sporu był następujący: Wałęsa opowiadał się za podpisaniem porozumienia już teraz, w niedzielę, niezależnie od tego, czy ostatnio aresztowani zostaną wypuszczeni przed tym aktem, czy też strajkujący otrzymają tylko publiczne zapewnienie strony rządowej, że zwolnienie nastąpi w ściśle określonym czasie po zawarciu umowy. Chyba wszyscy eksperci z grupy Mazowieckiego byli takiego zdania. Tak też doradzaliśmy prezydium.

Spróbuję odtworzyć nasze kryjące się za tym stanowiskiem racje, tak jak ja – i ci, z którymi na ten temat rozmawiałem – je wówczas rozumiałem.

Z jednej strony braliśmy pod uwagę huśtawkę nastrojów, która w stosunku do tego, co obserwowaliśmy na początku tygodnia (spokojna, a nawet pogodna determinacja), była czymś nowym, świadczącym chyba o szybkim narastaniu zmęczenia i nerwowego wyczerpania. Przeciąganie negocjacji tylko ze względu na aresztowanych mogło być wysoce niebezpieczne.

Z drugiej strony w przygotowanym porozumieniu widzieliśmy akt o tak wielkim znaczeniu historycznym, że wydawało się prawie pewne, iż przynajmniej przez najbliższy okres będzie on determinował atmosferę polityczną w kraju. Przetrzywanie więc aresztowanych, których władza w chwili wielkiego napięcia chciała izolować od strajkujących, będzie niemożliwe.

Oczywiście i my zabiegaliśmy o natychmiastowe zwolnienie aresztowanych. Niektórzy z nas mieli kontakt z Warszawą i współdziałali w sporządzeniu listy ostatnio zatrzymanych. Uważaliśmy, że postępowanie władzy jest nierozsądne. Widzieliśmy jednak w jej zachowaniu więcej niekonsekwencji niż przemyślanej gry. Nie uważaliśmy, że to musi być odbiciem jej nieszczerości. Doszukiwaliśmy się raczej różnicowania postaw w aparacie władzy. Zakładaliśmy, że policyjno-represyjna jej część jest znacznie bardziej konserwatywna niż

sygnatariusze porozumienia. Odnosiliśmy zwłaszcza wrażenie, że Jagielski uznał za swój punkt honoru doprowadzenie do porozumienia i że zawarta umowa stanie się w jego ręku i tych, którzy z nim współdziałają, ważnym argumentem przeciwko siłom konserwatywnym na szczytach władzy. Było oczywiste, że w najbliższym czasie sytuacja polityczna będzie płynna i to, czym okaże się porozumienie w praktyce, będzie zależało od kierunku zmian w układzie sił. Ale samo porozumienie będzie potężnym czynnikiem zmiany tego układu. Od tego więc, jak sami będziemy zawartą umowę traktowali, zależeć będzie jej siła oddziaływania jako katalizatora przyszłych zmian i reform. Myślę, że nie tylko ja, ale wszyscy eksperci z grupy Mazowieckiego obawiali się „samospełniającej się prognozy”. Wyniesiona z przeszłości nieufność do władzy była tak wielka, że sama w sobie wystarczała do wytworzenia przekonania, iż porozumienie jest niczym więcej jak kolejnym aktem obłudy ze strony rządzących. Czujność była nieuchronna i pożądana, ale nie taki stopień nieufności, który przekreśla sam sens zawierania porozumienia lub też odmawia treści kompromisu jakiegokolwiek wagi. Było też dla nas jasne, że owa nieufność wystąpi najsilniej u tych, którzy od władzy najwięcej ucierpieli.

W filmie *Wajdy Człowiek z żelaza* jeden z przedstawicieli policji już w chwili podpisywania porozumienia powiada, że to bezwartościowy świstek papieru. Jest to prawdziwe, a zarazem jednostronne w tym sensie, że pomija istnienie takich samych poglądów po drugiej stronie. Ja osobiście usłyszałem dokładnie takie samo określenie, i to właśnie w związku ze sprawą aresztowanych, z ust jednego z naszych warszawskich radykałów: „Dostajemy do rąk świstek papieru, a nie mamy żadnej sprawy rzeczywiście załatwionej”. Tak tłumaczył ów młodzian robotnikom, na co jak najkategoryczniej zareagowałem. Wytykałem mu zaciętrzewienie i brak wyobraźni politycznej. Dlatego postużyłem się nieco demagogicznym argumentem *ad personam*. Mówiłem: „Jaka szkoda, że Michnik i Kuroń są aresztowani, bo oni by wagę tego dokumentu z pewnością zrozumieli”. Moja zbyt ostra reakcja wynikała z przekonania, że nastawienie strajkujących będzie jednym z czynników określających, czym rzeczywiście ta umowa społeczna się stanie.

Spór o aresztowanych zakończył się, jak wiadomo, przyrzeczeniem Jagielskiego i wypuszczeniem aresztowanych następnego dnia po podpisaniu porozumienia

gdańskiego. Ujawniła się w tym mistrzowska ręka Wałęsy jako polityka. Było w sobotę i niedzielę parę krytycznych momentów grożących zerwaniem negocjacji przez strajkujących. Ale szczególnie jeden utkwił mi w pamięci. Gdy Wałęsa prowadził zebranie MKS, wpłynął z sali wniosek o zawieszenie negocjacji do czasu wypuszczenia aresztowanych. Chociaż Wałęsa był przeciwny takiemu ultimatum, poddał wniosek pod głosowanie i ogromną większością głosów ultimatum zostało zaakceptowane. Po chwili Wałęsa odczytał z wielkim

aplauzem przyjęty przez zebranych list dziękczynny do papieża, zaczynający się od słów: „W dniu zakończenia strajku ślemy Ci, Ojczy Świąty...”. Po tym liście Wałęsa nie miał już trudności w przegłosowaniu wniosku milcząco dezawuuującego poprzednio przyjęte ultimatum: podpiszemy porozumienie tylko wówczas, gdy Jagielski zobowiąże się (zdaje się, że chodziło o formę pisemną, czego nie pamiętam) do uwolnienia aresztowanych w ściśle określonym czasie¹⁶. Któż bowiem chciałby zawieść Papieża – Rodaka?

Nota redakcyjna

Wspomnienia Tadeusza Kowalika z przebiegu negocjacji w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. były już publikowane w Polsce i za granicą, jednak nigdy nie ukazała się ich pełna wersja. Z uwagi na objętość tekstu autor lub redakcja zawsze musieli dokonywać znacznych skrótów lub omówień. Obecnie prezentujemy wersję pełną, taką jaka została spisana w 1981 r. Aktualne uzupełnienia pojawiają się tylko w przypisach.

Sporządzając tę relację, autor przebywał w Waszyngtonie na stypendium naukowym. Z Warszawy zabrał jednak swój brulion, swoisty „dziennik pokładowy”, w którym prowadził zapiski każdego dnia podczas pobytu w stoczni, a także inne dokumenty. Umożliwiło mu to dość precyzyjne odtworzenie przebiegu wydarzeń i nawet cytowanie prezentowanych przez strony stanowisk. Jednak będąc za granicą, nie miał żadnej możliwości konfrontacji swoich wspomnień z innymi uczestnikami tamtych wydarzeń. „Jest to oczywiście relacja subiektywna, pióra jednego tylko z członków grupy o dość zróżnicowanych poglądach” – przyznał we wstępie do pierwszej publikacji swych wspomnień.

Ta pierwsza publikacja pod znamienym tytułem *Próba kompromisu (o Komisji Ekspertów MKS w Gdańsku)* ukazała się w 1983 r. w „Zeszytach Literackich” (nr 2) w Paryżu. Były to obszernie fragmenty wspomnień zawie-

rające pełny opis negocjacji (z wyjątkiem kilku szczegółów), bardzo skrótkowo natomiast zostały potraktowane wcześniejsze dni, podczas których przyszli eksperci Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego organizowali w Warszawie apel poparcia dla strajkujących stoczniovców (tzw. Apel 64), a potem ekipę do wyjazdu do Gdańska. Choć publikowana obecnie wersja jest najlepiej udokumentowana pod względem faktograficznym, w „Zeszytach Literackich” znalazło się kilka dodatkowych ciekawych informacji. Dotyczą one m.in. szczegółowych przyczyn pominięcia działaczy Komitetu Obrony Robotników wśród sygnatariuszy Apelu 64 czy informacji, kto jest kim z wykształcenia w utworzonej przez MKS komisji ekspertów. Na te fragmenty powołują się często historycy i publicyści. Przytaczamy je w przypisach.

W kraju wspomnienia Tadeusza Kowalika ukazały się w podziemnej Bibliotece „Tygodnika Wojennego” (przedruk z „Zeszytów Literackich”, pod tym samym tytułem). Obszerne fragmenty dotyczące samych negocjacji zostały opublikowane w Londynie w 1983 r. w pracy zbiorowej pod redakcją Anthony’ego Kemp-Welcha *The Birth of Solidarity. The Gdansk Negotiations, 1980*. Najpełniejszą wersję zamieścił tygodnik „Przegląd” w 2000 r. (nr 33 i 35) pod tytułem *Misja ekspertów*, jednak i ona ze względów objętościowych została skrócona za zgodą autora.

Relacja Tadeusza Kowalika to niejedyny zapis sporządzony przez warszawskich doradców i innych bezpo-

¹⁶ 31 sierpnia w „Strajkowym Biuletynie Informacyjnym Solidarność” podano: „Wicepremier Jagielski podpisał dokument, w którym oświadczył, że wszyscy zatrzymani przez MO w ciągu ostatnich dwóch tygodni, którzy znaleźli się na liście przekazanej przez MOKS Komisji Rządowej, zostaną zwolnieni jutro (1.09.1980 r.) do godz. 12.00”. (red.)

średnich uczestników tamtych wydarzeń. O swej pracy eksperta MKS pisał Waldemar Kuczyński w artykule *Droga do Stoczni Gdańskiej* opublikowanym w emigracyjnym „Aneksie” (1983, nr 31) oraz we wspomnieniowej książce *Burza nad Wisłą. Dziennik 1980–81* (Warszawa 2002). Tadeusz Mazowiecki opowiadał o niej w 1988 r. w *Rozmowie niedokończonyj* przeprowadzonej przez Janinę Jankowską¹. W 1986 r. ukazała się także relacja Bronisława Geremka w wydawanym na emigracji piśmie „Widnokraj”². W tym samym roku gdański „Przegląd Polityczny” opublikował rozmowę z Lechem Kaczyńskim, który pojawił się w stoczni niebawem po przybyciu doradców z Warszawy i uczestniczył w pracach jednej z grup roboczych³. (Obie relacje przedrukowujemy w niniejszym numerze „Wolności i Solidarności”). O ekspertach i kwestii kierowniczej roli PZPR pisała Jadwiga Staniszkis

w czasopiśmie „Labour Focus on Eastern Europe”⁴. Bardzo ciekawą relację z negocjacji i przygotowań do nich spisał na gorąco Lech Bądkowski, który jako członek prezydium MKS i jego rzecznik prasowy uczestniczył we wszystkich spotkaniach z komisją rządową⁵.

Wspomnienia o swej roli doradcy, ale strony przeciwnej, czyli komisji rządowej, opublikował także Antoni Rajkiewicz⁶. Rolę prawników wspomagających strajkujących robotników w stoczni, również tych spoza kręgu oficjalnych doradców MKS, szczegółowo przeanalizował Jarosław Kuisz, cytując obszernie różne wypowiedzi rozproszone w prasie niezależnej tamtego okresu oraz w książkach relacjonujących strajk w Stoczni Gdańskiej⁷.

Marta Woydt

¹ Zob. J. Jankowska, *Portrety niedokończone. Rozmowy z twórcami „Solidarności” 1980–1981*, Warszawa 2003.

² B. Geremek w rozmowie z W. Adamieckim, *Ekspersi w Gdańsku. Wspomnienia Bronisława Geremka o Sierpniu '80*, „Widnokraj” 1986, nr 3/4, przedruk w: „Prostu” 1990, nr 26 i 27.

³ *Polityki znieść się nie da*, „Przegląd Polityczny” 1986, nr 8.

⁴ J. Staniszkis, *Experts and the „leading role” a participant account*, „Labour Focus on Eastern Europe” 1981, t. 4, nr 4/6.

⁵ L. Bądkowski, *Przypisy dnia (z dzienników gdańskich 14 VIII – 1 IX 1980)*, „Zapis” 1980, nr 17.

⁶ A. Rajkiewicz, *Ostatni tydzień. Gdańsk – Sierpień '80*, „Polityka” 1990, nr 35.

⁷ J. Kuisz, *O udziale prawników w procesie zawierania Porozumienia Gdańskiego*, „Państwo i Prawo” 2005, nr 8.